



DWUKROPEK:

Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA

Maria Skłodowska-Curie: nieskażona sława

Jan Karski: bohater polskiego podziemia

Michał Choromański: zapomniany mistrz pióra



PATRONI ROKU 2024 WYBRANI PRZEZ SEJM I SENAT RP





REDAKCJA

Joanna Majksner-Pińska

tel. +27 21 424 7144

kom. +27 83 330 9661

e-mail: joanna@musiccape.co.za

SPONSORZY

J. M. Piński, MusicScape, Ambasada RP w Pretorii, Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego, J. W. Przybyłowicz

INFORMACJI w sprawie rocznej prenumeraty, pojedynczych egzemplarzy, archiwum oraz ogłoszeń i reklam udziela redakcja „Dwukropka”
joanna@musiccape.co.za

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2024. Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów



W numerze:

KALENDARIUM

Dziecko w sztuce polskiej	str. 4
Dzień Polskiego Osadnictwa	str. 32
Noc Świętojańska	str. 37

ROCZNICE

Maria Skłodowska-Curie	str. 12
Jan Karłowicz	str. 20
Michał Choromański	str. 34
Świątynia Wang	str. 44

KLUB BIBLIOFILA

Żuan Don	str. 17
----------	---------

SPACERKIEM PO HISTORII

Belcz Wielki	str. 31
--------------	---------

MEDIA POLONIJNE

Dodekalitten	str. 40
--------------	---------

oraz:

GALERIA, KĄCIK LITERACKI, HUMOR

Projekt okładki: Marek Piński

fot. Pinterest

WYDZIAŁ KONSULARNY AMBASADY RP W PRETORII

adres: 14 Amos Str., Colbyn,
PRETORIA 0083

telefony: +27 12 430 2631, + 27 12 430 2632

faks: +27 12 430 2608

e-mail: konsulat.pretoria@msz.gov.pl

www.gov.pl/web/rpa

SENAT RP na patronów roku 2024 wybrał: Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Wincentego Witosa i Władysława Zamoyskiego.

Ustalono także, że obecny rok będzie też Rokiem Edukacji Ekonomicznej.

SEJM RP rok 2024 ustanowił rokiem Marka Hłaski, arcybiskupa Antoniego Baraniaka, Romualda Traugutta, Wincentego Witosa, Kazimierza Wierzyńskiego, Melchiora Wańkowicza, Rodziny Ulmów, Zygmunta Miłkowskiego i Polskich Olimpijczyków.

Redakcja zastrzega sobie prawo do selekcji, skracania i korekty nadsyłanych tekstów oraz nie ponosi odpowiedzialności za prezentowane w nich poglądy.



Jan Matejko, Portret trojga dzieci artysty

Dziecko w sztuce polskiej

W czasach, gdy dzieci pozostają w centrum uwagi, trudno uwierzyć, że przez stulecia nieszczególnie się nimi interesowano. Dzieciństwo traktowano jako uciążliwy i śmiertelnie niebezpieczny okres przejściowy, prowadzący do stania się pełnoprawnym człowiekiem. Pogląd ten zmienili myśliciele doby Oświecenia, ale dopiero XIX wiek przyniósł falę zainteresowania dzieciństwem na polu psychologii i rodzącej się pedagogiki. Jednocześnie powoli zmieniał się model rodziny, a kontakty rodziców z dziećmi stawały się bliższe i mniej oficjalne. Ślady tych przemian odnaleźć można w sztuce, która w XIX wieku „odkrywa” dzieciństwo, czyniąc z niego coraz częściej autonomiczny temat.

KOTKI I KORONKI, CZYLI PORTRETY REPREZENTACYJNE

Przez stulecia dzieci rzadko były głównym tematem obrazów – chyba, że chodziło o wyobrażenie Dzieciątka Jezus. Czasem uwieczniano młodych przedstawicieli rodów arystokratycznych na portretach reprezentacyjnych, inną okazją do utrwalenia wizerunku dzieci były ich epitafia. W takich przypadkach nie tro-

szczono się o podobieństwo do modela, a tym bardziej naturalność ujęcia. Nawet maluchy ukazywano zastygłe w sztywnych pozach, ubrane w kosztowne stroje i z atrybutami podkreślającymi ich przymioty. Istotne rozluźnienie tej konwencji nastąpiło w XVIII w., kiedy pod wpływem oświeceniowej myśli zaczęto portretować dzieci w nieco bardziej swobodny, a zarazem przepiękny sentymentalizmem sposób.

Do tego typu wizerunków zalicza się portret trzyletniego Piotra Kobyłańskiego autorstwa Antoniego Blanka z 1826 r. Artysta mocno wyidealizował postać dziecka, uwydatniając jego najbardziej urocze cechy: wielkie oczy, pulchne rączki i rumiane policzki. Zgodnie z ówczesną modą, chłopiec został ukazany w mitologicznym przebraniu – jako skrzydlaty Kupidynek. Nie ma tu więc mowy o naturalności: starannie upozowany model patrzy na widza z delikatnym półuśmiechem, eleganckim gestem prawej dłoni podtrzymując atrybut w postaci strzały.

Wdzięk dzieci często podkreślano umieszczając na portretach ich towarzyszy zabaw – ulubione zwierzątka. Doskonałym przykładem jest namalowany jeszcze w XVIII w. portret Julii Duhamel, jedno z najlepszych dzieł Marcello Bacciarellego. Mniej więcej ośmioletnia dziewczynka patrzy wprost na widza, jest spokojna i delikatnie uśmiechnięta, być może zaintrygowana sytuacją. Na rękach trzyma kota, który najwyraźniej nie jest zachwycony pozowaniem i próbuje wyrwać się z jej objęć. Dynamiczna, świetnie uchwycona sylwetka zwierzęcia sprawia, że obraz wydaje się pełen swobody i świeżości, choć jednocześnie mieści się w ramach konwencji salonowego portretu dziecięcego.

Zamawiającymi portrety – także te dziecięce – przez długie lata byli niemal wyłącznie arystokraci. Zmieniło się to około połowy XIX wieku, kiedy coraz liczniejszą klientelę malarzy stanowić zaczęli przedstawiciele burżuazji. Marzący o społecznym awansie mieszczaństwo potrzebowało reprezentacyjnych wizerunków, które podkreślałyby ich status. Bardzo popularnym w tych kręgach portrecistą był Józef Simmler, prawdziwy mistrz w oddawaniu szczegółów wytwornych strojów i luksusowych wnętrz. To właśnie u niego w 1860 r. portret swoich córeczek zamówił jeden z najbogatszych mieszkańców Królestwa Polskiego, Leopold Kronenberg. Sześciolatka Maria Róża i trzyletnia Róża Maria Karolina pozują z psem i lalką – atrybutami podkreślającymi ich dziecięcy urok i nadającymi scenie pozory naturalności. Równie ważne jak wizerunki dziewczynek jest całe otoczenie.

Simmler z właściwym sobie kunsztem odmalował szczegóły białych sukienek, owoców na pierwszym planie oraz tkanin i bujnej roślinności w tle. Tego typu obraz nie był jedynie rodzinną pamiątką, ale przede wszystkim demonstracją pozycji społecznej zamawiającego.

Innym przykładem salonowego portretu dziecięcego jest podobizna Rozalii Matyldy Glaser (przez wiele lat znany jako portret hrabianki Thun) Artura Grottgera. Sytuacja na obrazie wydaje się dość swobodna: dziewczynka siedzi na trawie, na tle różanego krzewu, obok leży beztrosko porzucony kapelusz. W dłoniach i na kolanach ma kilka zerwanych kwiatów.

Zarazem biała sukienka z koronkami i falbankami oraz wyeksponowany kolczyk wyraźnie podkreślają jej dobre pochodzenie. Modelka została przez artystę mocno wyidealizowana. Jej jasna cera i de-



Marcello Bacciarelli, Portret Julii z Duhamelów Manteuffel z kotem



Józef Simmler, Portret Marii Róży i Róży Marii Karoliny Kronenberg z psem

likatność, podkreślone bladymi kolorami, zbliżają ją do romantycznego ideału kobiecego piękna. Ta stylizacja, elegancki strój i wdzięczna poza sprawiają, że mniej więcej czteroletnia Rozalia wydaje się o wiele starsza.

Własną koncepcję dziecięcego portretu reprezentacyjnego wykreował Jan Matejko malując swoich synów i córki. Na obrazie z 1870 r. najstarsza trójka: Tadeusz, Helena i Beata, ukazana została w fantastycznych, historycznych strojach z pokaznej kolekcji ojca, pośród dawnych tkanin o różnych wzorach i fakturach.

Ich pozy pełne są godności, nienawiązującej do staropolskich, szlacheckich wizerunków. Co ciekawe podobną stylizację Matejko stosował wyłącznie uwieczniając swoich bliskich, choć z reguły jako portrecista trzymał się współczesnych realiów.

W podobnej stylistyce utrzymany jest indywidualny, konny portret najmłodszego syna Matejki, Jerzego. Chłopiec ukazany został w – znanym między innymi z portretu zbiorowego – czerwonym stroju, który do dziś przechowywany jest w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Obraz powstał w Krzesławicach, gdzie Matejkowie mieli swoją letnią posiadłość. Zgodnie ze słowami Mariana Gorzkowskiego, Matejko malując swoje dzieci pragnął „okazać (...) głębsze uczucia ojcowskie” w wyjątkowo trudnym dla rodziny okresie, gdy ich matka przebywała przez większość czasu w szpitalu psychiatrycznym. W rezultacie powstał portret z jednej strony wpisujący się w długą tradycję konnych wizerunków, a z drugiej tchnący spokojem słonecznego dnia na wsi.

NARODZINY DZIECIŃSTWA

Jakże odmiennie prezentują się dziecięce portrety Piotra Michałowskiego! Artysta z reguły nie wystawiał swoich obrazów ani nie malował na zamówienie, nie był więc skrepowany konwencjami. Choć znany jest przede wszystkim jako twórca scen batalistycznych i wizerunków Napoleona, to stworzył także wiele podobizn osób ze swojego otoczenia. Zdaniem Ewy Micke-Broniarek „Był on pierwszym malarzem polskim, który potrafił dostrzec w dziecku istotę obdarzoną indywidualną osobowością, reagującą w sobie tylko właściwy sposób na otaczającą ją świat i ludzi”. Czasem jego uwagę przykuwały dzieci z okolicznych wsi, często też portretował własne potomstwo. Malarz korzystał z palety ograniczonej głównie do brązów i szarości, nie koncentrował



Artur Grottger, Portret Rozalii Matyldy Glaser



Jan Matejko, Portret syna artysty na koniu

się na ukazywaniu szczegółów ani na przesadnym podkreślaniu dziecięcego uroku. Malcom na obrazach towarzyszą zwierzęta, nie są to jednak salonowe pieski i puszyste kotki, ale pospolite kuczki, osiołki czy kudłate kundelki – naturalni kompani zabaw na wsi.

Na początku XX wieku w podobnie niewymuszony sposób swoje dzieci portretował Włodzimierz Tetmajer. Malarz ożenił się z Anną Mikołajczykówną, córką chłopca z podkrakowskich Bronowic i na stałe przeniósł się na wieś. To właśnie jego Stanisław Wyspiański przedstawił w *Weselu*, jako Gospodarza. Tetmajer wrósł w lokalną społeczność i stał się jednym z piewców jej barwnych obyczajów, które dokumentował na obrazach. Swoje dzieci – a miał ich aż ośmioro – ukazywał w codziennym otoczeniu, w wiejskich ubraniach, czasem boso.

Nieco bardziej reprezentacyjny charakter ma portret synów w odświętnych strojach krakowskich, których czerwień stanowi jedyny mocniejszy akcent kolorystyczny. Zastosowanie wąskiej, ciemnej gamy barwnej, swobodne prowadzenie pędzla i nastrój kompozycji zdają się nawiązywać do dzieł Michałowskiego.

Pisząc o wizerunkach dzieci w sztuce polskiej nie można pominąć nastrojowego obrazu *W ogrodzie* Władysława Podkowińskiego. Scenkę z chłopcami podlewającymi kwiaty artysta zaobserwował podczas wakacyjnego pobytu w Chrzęsnem w 1892 r. Na obrazie ukazani zostali synowie malarza Miłosza Kotarbińskiego: Tadeusz (przyszły filozof) oraz Mieczysław (przyszły malarz).

Obserwowani z pewnej odległości w naturalnej sytuacji, stają się częścią rozświetlonego, letniego krajobrazu. Bardziej niż na sportretowaniu chłopców lub namalowaniu sceny rodzajowej, artyście zależało na odwzorowaniu mocnego światła słonecznego. Obraz jest jedną z najbardziej udanych prób przeniesienia na grunt polski impresjonizmu, który wywarł na malarza wielki wpływ, podczas jego studiów w Paryżu.

W podobnie swobodnej atmosferze utrzymany jest portret dziewczynki w kapeluszu namalowany przez tego samego autora. Operując żywiołowymi pociągnięciami pędzla, Podkowiński zdołał uchwycić jej naturalną pozę i roześmianą twarz. Odnosimy wrażenie, że mała modelka wpadła do pokoju by tylko przez chwilę odpocząć i zaraz ruszyć do dalszej zabawy na dworze.



Włodzimierz Tetmajer, Rodzina artysty



Władysław Podkowiński, Dzieci w ogrodzie

ŚWIAT WEWNĘTRZNYCH PRZEŻYĆ

Dzieci stały się szczególnie popularnym tematem obrazów na przełomie XIX i XX stulecia. Nowe prądy w psychologii i literaturze pobudzały zainteresowanie ich życiem wewnętrznym, co skłaniało artystów do bardziej wnikliwego i pozbawionego czułościowości przedstawiania najmłodszych.

Do najszlachetniejszych młodopolskich wizerunków dzieci należy z pewnością *Portret Józefy Oderfeldówny* pędzla Józefa Pankiewicza. Pierwotnie to Podkowiński miał namalować córkę Adama Oderfelda, warszawskiego prawnika i mecenasa, czterolatka nie była jednak zachwycona nudnymi sesjami pozowania i w proteście obciąła sobie grzywkę. Malowanie portretu odłożono i nigdy nie został on zrealizowany. Dopiero trzy lata później Oderfeld zwrócił się Pankiewicza, który stworzył prawdziwe arcydzieło. Józefa, ubrana w czerwoną, bufiastą sukienkę, pozuje wsparta lewą ręką o krzesło, w prawej ściskając białą chusteczkę. Ascetyczne tło ożywiają tylko delikatne sylwetki orchidei rzucających cień na ścianę.

Tajemniczo uśmiechnięta dziewczynka patrzy wprost na widza wielkimi, nieco melancholijnymi oczami. Intensywność tego spojrzenia nie pozawala przejść obok obrazu obojętnie. Co ciekawe, prześwietlenie warstw malarskich ujawniło, że pierwotnie modelka miała raczej naburmuszony wyraz twarzy – widocznie nadal nie polubiła pozowania. Obraz wyróżnia się miękkim modelunkiem, który nadaje mu nieco odrealniony nastrój. Pankiewicz zastosował stonowaną, harmonijną kolorystykę, na której tle mocno wybijają się czerwień sukienki. Symboliczna atmosfera portretu przywołuje skojarzenia z obrazami amerykańskiego Jamesa McNeilla Whistlera, którego twórczość Pankiewicz poznał podczas podróży po Europie. Badacze wskazują także na pokrewieństwo z dziełami Velázqueza.

Portret od razu uznano za niezwykle udany, więc rodzina zamówiła jego jeszcze jedną kopię. Pankiewiczowi nie starczyło jednak cierpliwości i namalował jedynie zmniejszony wariant, który zakupił w 1902 r. Feliks Manggha Jasieński.

Gdy mowa o obrazie Pankiewicza, od razu nasuwa się skojarzenie z *Dziewczynką z chryzantemami* Olgi Boznańskiej – dziełem zadziwiająco podobnym, a zarazem zupełnie odmiennym. Zbliżone jest ujęcie dziewczynki (mniej więcej od kolan, en face), a przede wszystkim jej spojrzenie utkwione w widzu. Obraz utrzymany jest w wyrafinowanej gamie szarości i brązów, na których tle wyróżniają się białe kwiaty trzymane przez modelkę.

Również tutaj dostrzegalne są wpływy Velázqueza i Whistlera, których Boznańska bardzo ceniła. Największą różnicę między obrazami stanowi wyraz twarzy: tam gdzie u Pankiewicza był łagodny półuśmiech, u Boznańskiej jest smutek, a nawet strach. William Ritter w „Gazette des Beaux-Arts” dostrzegł w dziewczynce „o dziwnych niepokojących oczach, jakby kroplach atramentu, które zdają się wylewać na chorobliwie bladą twarz, współczesny ideał postaci Maeterlincka”. Z pewnością dla postaci z obrazu Boznańskiej można odnaleźć analogie w modernistycznej literaturze, która zerwała z postrzeganiem dzieciństwa jako czasu beztroski. Zarazem w przykuwających uwagę oczach dziewczynki znajdziemy zapowiedź późniejszych portretów malowanych przez artystkę.

Melancholijnym nastrojem zaskakują namalowane przez Boznańską w 1889 r. Imieniny babuni – rodzajowa scenka o radosnym zdawałoby się temacie. W późniejszej twórczości malarki niewiele będzie tak



Józef Pankiewicz, Portret dziewczynki w czerwonej sukience



Olga Boznańska, Dziewczynka z chryzantemami

rozbudowanych kompozycji. W głębi głębi ukazanego w perspektywnym skrócie wnętrza siedzi kobieta (czyżby tytułowa babunia?), całą uwagę przyciąga jednak dziewczynka na pierwszym planie.

Uroczą blondyneczkę w odświętnej sukience stoi oparta o ścianę ze smutno spuszczoną głową. W dłoni ściska bukiet kwiatów. Wydaje się kompletnie wyobcowana, opuszczona. A może po prostu znudzona rodzinnym spotkaniem? Obrazy Boznańskiej intrygują tak bardzo, ponieważ nigdy nie dają łatwych odpowiedzi.

Do najwybitniejszych portretów autorstwa artystki zaliczany jest podwójny wizerunek sióstr Heleny i Władysławy Chmielarczyk. Namalowany został kilkanaście lat później, gdy malarka przeniosła się już z Monachium do Paryża. Przedstawione na obrazie dziewczynki to córki Władysława Chmielarczyka, adwokata, który administrował w imieniu Boznańskiej jej kamienicą w Krakowie.

Artystka sportretowała je w typowy dla swojej dojrzałej twórczości sposób: koncentrując się na twarzach i nie przywiązując większej uwagi do otoczenia. Postacie wydają się nieco niematerialne, jakby zamglone – ten efekt malarka uzyskiwała kładąc olejne farby „na sucho” na tekturze. Dziewczynki przedstawione na obrazie spoglądają wprost na widza, a wyrazy ich twarzy pełne są zupełnie niedziecięcego znużenia.

Prawdziwym mistrzem w ukazywaniu dzieci był Stanisław Wyspiański. Artysta posługiwał się najczęściej pastelami, a portrety malował możliwie szybko, wychodząc z założenia, że człowiek ulega bezustannym zmianom. Nie szukał więc uniwersalnej prawdy o modelu, starając się za to możliwie trafnie uchwycić jego chwilowy stan. Chętnie obserwował dzieci, a dzięki swojej metodzie pracy jak nikt inny był w stanie uchwycić ich naturalne gesty i emocje. Malcy na jego portretach nigdy nie są upozowani, bywają za to zamyśleni, rozespiani albo zwyczajnie znudzeni. Pięcioletni Józio Feldman – syn Wilhelma, pisarza i krytyka literackiego – podpira naburmuszoną twarz rączką i patrzy na nas z niemym wyrzutem, zapewne oderwany od ciekawszych niż pozowanie zajęć.

Wyspiański najchętniej portretował własne dzieci: Helenkę, Mietka i Stasia. Nic dziwnego, że obrazy te należą do jego najlepszych dzieł, bowiem oprócz warsztatu wybitnego portrecisty, wyraża się w nich szczerą czułość. Wyspiański, który dla innych by-



Stanisław Wyspiański, Portret chłopca (Józio Feldman)

wał szorstki, a wręcz grubiański, swoje dzieci uwielbiał i otaczał wielką troską. W wizerunkach drzemiącego Stasia czy Mietka widzimy przede wszystkim ojca, który – jak wielu rodziców – potrafi godzinami godzinami wpatrywać się w śpiące dziecko.

EGZYSTENCJALNE ROZTERKI

W sztuce modernizmu obecność dziecka miawała także mniej oczywiste znaczenia. Symboliczny sens nadawał jej między innymi Jacek Malczewski, który na początku XX wieku namalował cykl obrazów z pastuszkami i aniołami, inspirowany wierszem Teofila Lenartowicza *Za aniołem*:

*„Aniele! pójdę za tobą,
Matkę i ojca zostawię,
(...)
Nic a nic nie wezmę z sobą.
Zostawię ogródek, drzewa
I naszą cichą izdebkę,
(...)
Zostawię nawet sukienkę,
I tak w koszulce, jak stoję,
Mój srebrny – podam ci rękę
I pójdziem sobie we dwoje”.*

W interpretacji Malczewskiego wśród zwyczajnych pól, przez zwyczajnym małym pastuszkim pojawia się wielkoskrzydły, barwny anioł. Wprowadzanie fantastycznych postaci do pospolitego krajobrazu należało do ulubionych zabiegów malarza. W tym przypadku anioł wydaje się zwiastunem

istnienia lepszego, piękniejszego świata, zupełnie odmiennego od widocznego na obrazie otoczenia. Przybysz budzi w pastuszkach zdziwienie i przestrach pomieszane z nieodpartą ciekawością, która każe zapomnieć o pasących się gęsiach i wyruszyć w podróż pod jego opiekuńczymi skrzydłami. Anioł ukazuje się wyłącznie dziecku, ponieważ obdarzone jest ono naturalną wrażliwością, niedostępną dla większości dorosłych. Mały pastuszek podobny jest pod tym względem do artysty, który dostrzega to, co dla innych niewidoczne.

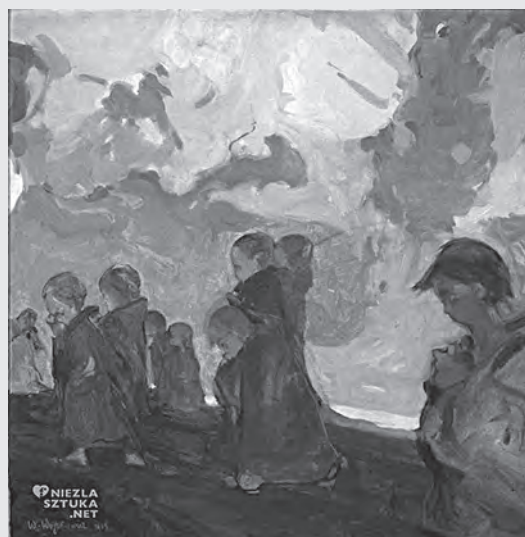
Dzieciństwo w sztuce modernistów wyrastało poza wymiar sentymentalnej idylli, stając się pretekstem do rozważań o ludzkim życiu i jego naturalnym rytmie, prowadzącym do nieuchronnego przemijania. Ukazana na obrazie *Zasmucona* Wojciecha Weissa dziewczynka nie jest beztraska, lecz pogrążona w melancholijnej zadumie. Ciasne kadrowanie sprawia, że całą uwagę koncentrujemy na jej emocjach, które – pozbawione jakiegokolwiek kontekstu – stają się autonomicznym tematem. Czy są to jednak na pewno wewnętrzne przeżycia namalowanej dziewczynki? Weiss w żadnym razie nie tworzy tu portretu konkretnej osoby, choć realistycznie odwzorowane rysy twarzy z pewnością pozwoliłyby ją zidentyfikować. Jak zauważa Wiesław Juszczak, modele Weissa z tamtego okresu „(...) nie prezentują, nie reprezentują siebie – są „przykrojeni”, zastosowani do kreowanego przez artystę świata, wyrażają to, co on im wyrażać każe. Są potraktowani instrumentalnie, są narzędziami jego wypowiedzi”. Artysta posługuje się więc dzieckiem by wyrazić nastroje zgodne z dekadencją ducha przełomu wieków.

Od tego melancholijnego wizerunku bardzo mocno odbiegają pełne życia i zmysłowości *Maki*. Na namalowanym żywiołowych pociągnięciach pędzla obrazie, dwóch rozebranych chłopców ziewa i przeciąga się. Wyglądają jakby właśnie przebudzili się z drzemki pośród nienaturalnie wybujałych kwiatów. Oniryczny nastrój i maki – symbol snu i śmierci – sugerują, że nie mamy do czynienia z realnym światem, a sennym majakiem. Sylwetki dzieci wtapiają się w roślinność, są integralną częścią natury. Zgodnie z naturalnym rytmem dorastania budzą się w nich seksualne popędy, które – zgodnie z filozofią epoki – sterują ludzkim życiem.

Do tworzenia niepokojących, egzystencjalnych wizji sylwetki dzieci często wykorzystywał Witold Wojtkiewicz. Tytuł obrazu *Krucjata dziecięca* nawiązuje do wydarzenia historycznego: XIII-wiecznej wyprawy krzyżowej, w której pod wzięty udział tysiące dzie-



Jacek Malczewski, Aniele pójde za Tobą



Witold Wojtkiewicz, Krucjata dziecięca

ci opętanych fanatyczną religijnością. Ich krucjata do Jerozolimy miała odnowić ideę wypraw zbrukaną przez dorosłych. Niezwykli krzyżowcy nigdy nie dotarli do celu – większość zmarła po drodze lub została wzięta do niewoli. Wojtkiewiczza zainspirował zapewne nawiązujący do tej his-

torii poemat Marcela Schwoba, z którym miał okazję zapoznać się na łamach pisma „Chimera”. Utrzymany w ponurej tonacji barwnej obraz w całości przesiąknięty jest nastrojem mrocznym i tragicznym. Ekspresyjnie zdeformowane dzieci brną przed siebie, bezbronnie w nieprzyjaznym, jałowym otoczeniu. Nie widać żadnego celu ich wędrówki, a nawet atrybutu, który mógłby sugerować sens wyprawy. Dzięki temu scena zyskuje wymiar uniwersalny, stając się swoistą metaforą ludzkiego życia.

Za kulminację twórczości przedwcześnie zmarłego Wojtkiewicza uznaje się dwa cykle: *Z dziecięcych pól* i *Ceremonie*. Oba zaprezentowane zostały po raz pierwszy w 1908 r. i są pod wieloma względami podobne. Obrazy zaludniają typowe dla Wojtkiewicza dziwne, smutne dzieci, tym razem przebrane w bajeczne stroje. Umieszczone w krajobrazie rodem

z sennego majaka, wśród rachitycznych roślin doniczkowych z niedzielnym znużeniem oddają się niezrozumiałym zabawom, a może raczej rytuałom. Ukazane sceny utrzymane są w atmosferze baśni, a każda z nich wydaje się kulminacyjnym momentem jakiegoś dramatu. Trudno jednak określić jaką historię opowiadają, nie są bowiem ze sobą powiązane w żaden oczywisty sposób. Kompozycje o pięknych, delikatnych kolorach, nie poddają się racjonalnej analizie, choć – jak wykazał Wiesław Juszcak – można odnaleźć w nich wiele nawiązań do współczesnej Wojtkiewicze literatury. Tym co oddziałuje na odbiorcę jest ich atmosfera – kusząco baśniowa, a zarazem pełna dziwności, melancholii i poczucia wyobcowania.

Joanna Jaśkiewicz



Dzień Dziecka

Maria Skłodowska - Curie 90. rocznica śmierci

Maria Skłodowska-Curie, podwójna noblistka (1903, 1911), pierwsza kobieta uhonorowana tą najwyższą naukową nagrodą, odkrywczyni polonu i radu urodziła się 7 listopada 1867 roku.

Rodzice noblistki - Marianna Bronisława z domu Boguska (1835–1878) i Władysław Skłodowski (1832–1902) byli nauczycielami. Oprócz najmłodszej Marii Skłodowskiej mieli jeszcze czworo dzieci: Zofię (1861–1876), Józefa (1863–1937), Bronisławę (1865–1939) i Helenę (1866–1961).

“Po śmierci Bronisławy Skłodowskiej na gruźlicę (1878) dzieci wychowywał ojciec. W rodzinie kultywowane były tradycje patriotyczne, najpierw romantyczne, potem pozytywistyczne. Młodzi Skłodowscy wzrastali wychowywani na poezji Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego. Potem bliskie były Marii idee czerpane z prac Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego, w tym pozytywistyczne hasła pracy organicznej i pracy u podstaw” - napisano na stronie Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie.

Maniusia, jak nazywano ją w rodzinie, w 1877 r. rozpoczęła naukę na pensji Jadwigi Sikorskiej w Warszawie. W 1883 r. ze złotym medalem ukończyła III Żeńskie Gimnazjum Rządowe. Rok później Skłodowska zapisała się na kursy nielegalnej uczelni wyższej – Uniwersytetu Latającego w Warszawie, którego program obejmował głównie nauki przyrodnicze i społeczne. Na wykłady uczęszczała powtórnie w roku 1890/1891.

“Młoda Maria była osobą uzdolnioną i wszechstronnie wykształconą, znała języki obce, interesowała się socjologią, psychologią, naukami ścisłymi, dobrze rysowała. Wybrała jednak nauki ścisłe, marząc o studiach na Uniwersytecie Paryskim, słynnej Sorbonie” - czytamy na stronie Muzeum Skłodowskiej-Curie.

Jak wyjaśniono, wyjazdy na studia za granicę były koniecznością dla ówczesnych dziewcząt, ponieważ żaden uniwersytet w Polsce znajdującej się pod zaborami nie przyjmował kobiet. Studia były jednak płatne. Maria przez kilka lat udzielała korepetycji, za pomocą których sfinansowała studia medyczne siostry, Bronisławy. Siostra z kolei pomogła Marii utrzymać się podczas studiów na paryskiej Sorbonie (rozpoczętych w 1891 r.).



W latach 1886–1889 Skłodowska pracowała jako nauczycielka domowa w majątku Szczuki, należącym do Krasińskich, gdzie uczyła dzieci właścicieli majątku, państwa Żórawskich. *“Zorganizowała także szkółkę dla dzieci wiejskich, które uczyła języka polskiego i historii, wcielając w życie ideały pozytywizmu. Za tę nielegalną działalność groziła wówczas konfiskata mienia, a nawet zsyłka na Sybir. W czasie pobytu w Szczukach Maria przeżyła pierwszą miłość, zakochując się z wzajemnością w synu państwa Żórawskich, studencie matematyki, Kazimierzu Żórawskim (1866–1953). Zamierzał on poślubić Marię, jego rodzice uważali jednak, że byłby to mezalians, toteż do ślubu nie doszło”* - podano na stronie Muzeum.

Skłodowska wiedzę z chemii i fizyki uzupełniła w laboratorium Pracowni Fizycznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. W Pracowni Chemicznej, pod kierunkiem prof. Napoleona Milicera i jego asystenta, doktora Włodzimierza Kossakowskiego, opanowała analizę chemiczną.

W listopadzie 1891 r. wyjechała do Paryża i zapisała się na wydział matematyczno-przyrodniczy Sorbony, gdzie studiowała jako jedna z nielicznych kobiet. W 1893 r. uzyskała licencjat nauk fizycznych z pierwszą lokatą, rok później – licencjat nauk matematycznych z drugą. Jeszcze przed ukończeniem

studiów podjęła pracę, wykonując dla Towarzystwa Wspierania Przemysłu Krajowego we Francji badania właściwości magnetycznych stali.

Francuskiego fizyka Piotra Curie (1859–1906) poznała w 1894 r. Mężczyzna po kilkumiesięcznej znajomości poprosił Marię o rękę. Jak napisano na stronie Muzeum, *“była to dla niej trudna decyzja, wymagająca pozostawienia rodziny i opuszczenia na stałe ojczyzny”*. *“Podjęła ją, nie mogąc uzyskać w kraju zatrudnienia, które odpowiadałoby jej kwalifikacjom”* - dodano. W lipcu 1895 r. pobraли się.

W biografii Skłodowskiej, zamieszczonej na stronie Muzeum, przekazano, że *“utrzymując kontakty z Polską, przyjeżdżała do ojczyzny wielokrotnie”*. *“Były to zarówno przyjazdy związane z pracą, jak i prywatne. Tak na przykład w roku 1899 Maria przyjechała do Polski z Piotrem, żeby pokazać mu Warszawę i Zakopane (weszli wówczas na Rysy, najwyższy szczyt w polskich Tatrach), natomiast w roku 1911 wędrowała po górach z córkami. Tatry stanowiły dla Marii synonim swobody. Wśród wysokich szczytów mogła odetchnąć nieskrępowaną wolnością – w kraju, który nie istniał wówczas na żadnej mapie”* - podkreślono.

Uczeni doczekali się dwóch córek - Ireny, która przyszła na świat w 1897 r. (zm. 1956), podobnie jak rodzice, została naukowcem, w 1935 r. otrzymała wraz z mężem, Fryderykiem Joliot-Curie (1900–1958) Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za odkrycie zjawiska sztucznej promieniotwórczości, oraz Ewy (1904–2007), która była pisarką, dziennikarką, korespondentką wojenną, pianistką, autorką biografii matki *“Madame Curie”* (1937).

Curie pracowali razem w laboratorium utworzonym ze starego prosektorium, użyczzonego im przez władze miejskiej Szkoły Fizyki i Chemii Przemysłowej, w której wykładał Piotr. Maria wybrała wówczas temat pracy doktorskiej – dotyczyła promieniowania uranowego, badanego wcześniej przez H. Becquerela. W lipcu 1898 r. ogłosili odkrycie pierwszego pierwiastka promieniotwórczego, nazwanego na cześć ojczyzny Marii polonem, w grudniu zaś poinformowali świat o odkryciu radu.

“Zaczęła się nowa era, świat oszalał, rad uznany został za cudowny lek, który wedle reklam przedłużał młodość, zapewniając długie życie. Uczeni, którzy nie opatentowali odkrycia, kontynuowali badanie właściwości pierwiastka, próbując uzyskać go w postaci metalicznej. Obydwoje zachowywali dystans względem ‘radowego szaleństwa’” - czytamy na stronie Muzeum M. Skłodowskiej-Curie.

W 1903 r. wraz z mężem i Henrim Becquerelem Skłodowska-Curie została wyróżniona Noblem z fizyki



za badania nad promieniotwórczością. Maria stała się pierwszą kobietą uhonorowaną tą najwyższą naukową nagrodą. Do dziś jest jedyną, która posiada dwie Nagrody Nobla w dwóch różnych naukowych przyrodniczych.

Wspólne życie i pracę przerwała tragiczna śmierć Piotra. 19 kwietnia 1906 r. zginął w wypadku ulicznym pod kołami zaprzęgu konnego, osierocając żonę i dwie córki. Zrozpaczona Maria przez rok prowadziła tzw. *Dziennik żałobny*, w którym opisywała żal i pustkę po stracie ukochanego męża.

Po okresie załamania Maria stopniowo odzyskiwała równowagę. W 1906 r. objęła katedrę po zmarłym mężu, stając się pierwszą kobietą wykładającą

na Sorbonie. Dwa lata później, jako pierwsza kobieta otrzymała nominację na profesora uczelni. W 1910 r. kandydowała do francuskiej Akademii Nauk, jednak w styczniu kolejnego roku wybrano innego kandydata, fizyka Édouarda Branly'ego.

W grudniu 1911 r. uczona odebrała w Sztokholmie drugą, tym razem indywidualną, Nagrodę Nobla. Triumf poprzedziła nagonka prasowa rozpęta we Francji wokół relacji Marii z fizykiem Paulem Langevinem. Dwa lata później, w 1913 r., noblistka otworzyła pierwszą polską Pracownię Radiologiczną, której kierownictwo objęła, delegując do prowadzenia placówki swoich uczniów, Jana Kazimierza Danysza i Ludwika Wertensteina.

Podczas I wojny światowej Skłodowska zorganizowała służbę rentgenowską, która pomogła setkom tysięcy rannych żołnierzy, a wielu z nich uratowała życie. Dzięki niej żołnierze przechodzili operacje usunięcia odłamków, nie tracąc rąk ani nóg. By móc kierować ambulansem przewożącym sprzęt do polowych prześwietleń, jako jedna z pierwszych kobiet zdobyła prawo jazdy. Była nawet na wysuniętych pozycjach pod Verdun. Wraz nią jeździła starsza córka, Irena. Uważa się, że praca ta pozostawiła w jej organizmie nieusuwalne zmiany chorobowe.

Po wojnie wróciła do Paryża, gdzie pod jej kierownictwem rozpoczął działalność Instytut Radowy. *“W jego laboratorium kształcili się stypendyści z całego świata, w szczególności z Europy Środkowo-Wschodniej, o co uczona dbała, wspierając w ten sposób między innymi naukę polską w okresie po odzyskaniu niepodległości”* - zaznaczono na stronie poświęconego jej Muzeum.

Skłodowska reprezentowała także sprawę polską w Lidze Narodów, gdzie od 1922 r. zasiadała w Międzynarodowej Komisji Współpracy Intelktualnej, pełniąc funkcję jej wiceprzewodniczącej (od 1923).

Uczona marzyła o otwarciu Instytutu Radowego również w Polsce. W 1925 r. marzenie zaczęło się spełniać. Skłodowska-Curie przyjechała do Warszawy, gdzie położono kamień węgielny pod budowę Instytutu Radowego przy ul. Wawelskiej. Siedem lat później noblistka uczestniczyła w uroczystym otwarciu instytutu (1932). Był to jej ostatni pobyt w Polsce.

W czerwcu 1934 r. z podejrzeniem choroby płuc pojechała wraz z młodszą córką, Ewą, do alpejskiego sanatorium Sancellemoz, gdzie 4 lipca zmarła na białaczkę. Została pochowana w Sceaux pod Paryżem, w grobowcu rodziny Curie.

W 1995 r. prochy Marii i jej męża spoczęły w paryskim Panteonie. Trumna jest z ołowiu - m.in. dlatego, że jej ciało wciąż promieniuje. Także jej rzeczy osobiste i notatki są skażone radem 226, którego okres połowicznego rozpadu wynosi 1600 lat.



Skłodowska jako jedyna kobieta uczestniczyła w Konferencjach Solvayowskich — dorocznych spotkaniach najwybitniejszych uczonych, gromadzących fizyków takich, jak Max Planck, Ernest Rutherford, Niels Bohr oraz Albert Einstein. Po jej śmierci Einstein napisał, że była jedyną znaną mu osobą, która była zupełnie nieskażona sławą.

Zastępczyni Dyrektora Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie Miłka Skalska powiedziała PAP, że w jej ocenie fenomen Skłodowskiej-Curie to *“droga, jaką ta kobieta pokonała w życiu”*.

“Urodzona w kraju, którego nie było na mapie, w czasach kiedy kobiety nie miały dostępu do wyższych uczelni, wyznaczyła sobie niebotyczne cele i je osiągnęła. Obrwała drogę naukową, podwójnie trudną. Realizacja planów wymagała z jednej strony zderzenia się z konwenansami życia obyczajowego, a z drugiej morderczej pracy badawczej, którą okupiła zdrowiem. Musiała jasno widzieć cel, bo mimo trudności nie zwątpiła. Dwie Nagrody Nob-

la i odkrycia stanowiące podstawy nowoczesnej onkologii dały uczonej światową sławę, co w najdrobniejszym stopniu nie zmieniło jej jako człowieka. Odkrywszy sposób pozyskiwania radu, nie opatentowała go, z czego mogłaby czerpać ogromne korzyści materialne. Wraz z mężem Piotrem Curie przekazała to odkrycie na rzecz ludzkości. Ta droga stanowi nieprzemijalną wartość i wzór. To także droga do samospełnienia. O fenomenie Skłodowskiej-Curie można by powiedzieć dużo więcej. Warto bliżej poznać biografie najsłynniejszej na świecie Polki” - wskazała Skalska.

Oceńnię, że “Skłodowska-Curie stanowi nieustającą inspirację dla wielu ludzi, i młodych, i starszych”.

“Naukowcy, szczególnie młode kobiety, które obrały drogę na uczelniach technicznych czy specjalizację w naukach ścisłych, widzą w Marii swoją patronkę. Do Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie przy ul. Freta 16 [dom, w którym urodziła się uczona - przyp. PAP] przy-

jeżdżają Japończycy, Chińczycy i Koreańczycy, którzy znają doskonale historię noblistki. Dla Azjatów wzorem życia jest skuteczność, z jaką uczona dążyła do obranego celu, oraz pasja, z jaką żyła i pracowała. To była szalenie nowoczesna kobieta. Pierwsza noblistka i pierwsza profesor na Sorbonie uwielbiała jeździć na rowerze i znakomicie pływała. Syntetycznie przedstawiony życiorys wygląda jak pasmo nieustających sukcesów, choć w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Skłodowska-Curie wiele razy w życiu zmierzyła się z osobistą tragedią i prawdopodobnie nieraz stała na granicy załamania, a mimo to nie poddała się. Wierzę, że uczona wszech czasów jest i będzie nieprzemijającą idolką młodego pokolenia, musimy tylko dać szansę młodym ludziom na bliższe poznanie jej życiorysu” - podkreśliła.

Katarzyna Krzykowska
www.rmflclassical.pl

Galeria



Fot. Karol Grabowski

Andrzej Brochocki

DOM

budowałem swój dom w mozole
fundamenty tkwią gdzieś w jądrze ziemi
wypaliłem piramidy cegieł
obrabiałem marmury z Carrary
piłowałem świerki norweskie

wokół stały piece i kuźnie
kulem młotem stal damasceńską
na kołatki balustrady schody
szkło płynęło tratwami z Murano
Leonardo malował freski

dnia szóstego z dalekiej Mandżurii
karawaną przybyły zwierzęta
do rozległych moich ogrodów
dnia siódmego mogłem odpocząć

dzisiaj od rana zacząłem rozbierać
stromo dachy gościnne tarasy
bramę ściany strąciłem latarnie
dłutem skutem wszystkie maszkarony
Leonarda odwoziłem na dworzec

pewnie zajmie mi znowu z sześć dni
zanim stado zwierząt odprowadzę
by nie został tutaj żaden ślad

i wyglądać będę dnia siódmego

maj 2019 r.

Wiesław Janusz Mikulski

Z OSTROŁĘCKIEGO PARKU

sosny
umalowane
dziś słońcem
otulone wiatrem

pamiętają
nasze spacerunki
i myśli sunące
ptaki ...

Jerzy Górnicki

DOM

To miał być dom z oknem na białą plażę,
bez zaston i firan ciężkich od kurzu i kłótni,
z kominkiem rozpalanym w brzaskach i zachodach,
z tynkiem bielonym jak niewinność dziecka.
To miał być dom złożony z kamienia polnego,
zabrany drodze pomiędzy łąkami,
z radością dzieci, która szybciej rośnie
niż drzewo zasadzone przed paroma latami.
To miał być dom, w którym dach nie cieknie,
wiatr nie zamyka okiennic przed burzą,
a pies wymiecie smutek dnia ogonem.
To miał być dom z wieloma krzestami
przyjaźnie skrzypiącymi pod ciężarem chwili,
z okrągłym stołem, w którym się odbijają
twarze siedzących z tymi, co tu kiedyś byli.

Warszawa, czerwiec 2008

Sławomir Maszewski

ZACHÓD SŁOŃCA NAD JEZIOREM ZBICZNO

W godzinie sekretnej,
z żałobnej rozkoszy utkanej,
słońce jak plaster miodu skapuje powoli
w korony drzew przykrytych atlasową szubą
posrebrzonych chmur.

Wszystko tonie w jeziorze,
jeziorze jesiennie grzesznym,
rozmiogocnym,
jak potargane, niemodne koronki.

Rudawy sen niczym pielgrzym,
z łękiem pierwotnym w dłoniach,
szklanym czótnem żegluję ku mnie,
resztki blasku malując mrokiem.

Tuż obok w szuwarach
zastygłych nad wodą,
śmierć pachnie rybą i tatarakiem
i mruga do mnie spod ciężkiej powieki...

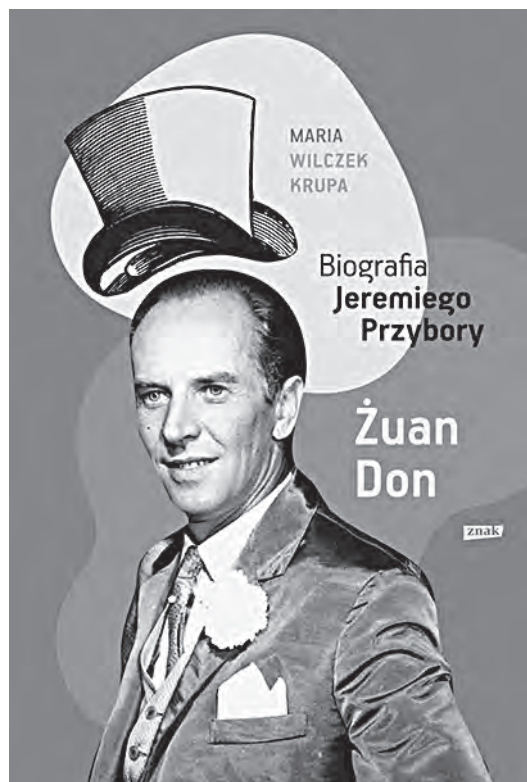
W sercu ciągle maj

Maciej Pinkwart

Przyznam szczerze, że na początku czytanie szło mi jak po grudzie. Nie dlatego, że książka zła, tylko dlatego że – po pierwsze – miałem sporo własnego pisania, a po drugie – materia pierwszych rozdziałów, usytuowana w zamierzchłej przeszłości niespecjalnie mnie interesowała. Ale gdzieś tak w okolicy 200 strony złapałem wiatr w żagle i już dźwigałem tomiszczę (z trudem: waży przeszło 1200 gram!) przed oczy codziennie. Sto stron później, czyli od czasów *Kabaretu Starszych Panów* już niemal nie mogłem się oderwać. Po stronie 586 były już tylko przypisy i indeks nazwisk, więc książkę z żalem zamknąłem.

Maria Wilczek-Krupa pisze świetnie się czytające biografie osób, które należały do ekstraklasy polskiej kultury. Jest muzykiem i historykiem (dla miłośników feminatywów: muzyczką i historyczką), więc zapewne tematyka muzyczna jest jej najbliższa, choć to nie jest pewne: ja, jako egiptolog, najbardziej interesuję się fizyką kwantową i uważam, że słowo *amator* nie oznacza nieprofesjonalisty, tylko miłośnika. Ale w biografii Jeremiego Przybory, która ukazała się pod koniec 2023 roku pod uwodzicielskim tytułem *Żuan Don* autorka jest przede wszystkim znakomitą dokumentalistką. Momentami – znakomitą do tego stopnia, że sama daje się uwieść własnej skrupulatności, która prowadzi ją w taki gąszcz szczegółów, iż czytając musimy maczetą wycinać sobie w nim drogi powrotne do głównego wątku. Rzecz jasna, i w tym gąszczu są miejsca, w których rosną słodkie poziomki i pikantne papryczki artystyczne i obyczajowe. Nie należy zbyt szybko przerzucać kartek, bo może przy lekturze to i owo umknąć, a potem będzie trudno się połapać. Co więcej – autorka różne miejsca tego gąszczu faktów traktuje rozmaicie: jednych przyjaciół i niektóre kochanki Starszego Pana B. (Jerzy Wasowski zapewne z powodu wieku był Starszym Panem A.) lustruje do trzeciego pokolenia wstecz, inne osoby tylko od urodzenia. Dygresje są niekiedy co najmniej równie ciekawe jak główny wątek, dlatego z łatwością dajemy się uwieść (dobre słowo w odniesieniu do tej książki!) i sprowadzić na chwilowe manowce.

Jeremi Przybora żył długo i doświadczał polskiej historii dotkliwie i nieraz boleśnie, przechodząc przez co najmniej pięć epok. Nazywał siebie – i nazywano go we wcześniejszych biografjach – *dzieckiem szczęścia*, ale Maria Wilczek-Krupa w swojej książce pokazuje, jak mylące bywają takie etykiety. Udało mu się przeżyć bez większych cierpień i martyrologii pierwszą wojnę, lata międzywojenne, okupację niemiecką, powstanie warszawskie, stalinizm, prząsne lata Gomułki, wydarze-



nia marcowe, złudzenia epoki Gierka, karnawał „Solidarności”, wredną smutę stanu wojennego, okrągły stół i odrodzenie wolności, a w końcu – wejście w nowe stulecie. Ale życie popularnego i uznanego twórcy, artysty znanego wszystkim z telewizji i człowieka o najwyższej klasie kultury, jak się okazuje, nie było bynajmniej pasmem triumfów i szczęścia. Bo choć z pewnością Przybora należy do najznakomitszych poetów i twórców piosenek z czasów, które znam i nostalgicznie wspominam (niekoniecznie czasy, ale twórczość tamtej epoki), to – i o tym dowiadujemy się dokładnie z *Żuana Dona* – jego twórczość to zwykle nie są takie sobie ot, wesołe, czasem smutne, czasem nostalgiczne, czasem romantyczne tekściki: to są skrywające się pod kostiumami ulotnych słów ogromne emocje. W swoich – uproszcmy to – piosenkach Jeremi Przybora opowiada o sobie i o swoich miłościach, o przemijaniu – uczuć, sławy, czasu. A ja słuchając i oglądając jego dzieła – kiedyś po prostu się rozczulałem, śmiałem i podziwiałem kunszt autorski. Nie miałem pojęcia, kto i co się za tym kryje. I teraz, po lekturze dzieła Marii Wilczek-Krupy czuję się trochę okradziony z czegoś,

co uważałem za ogólne, abstrakcyjne, a zatem mogłem to sobie wziąć i dopasować do stanu własnych uczuć, własnych miłości, przyjaźni, nostalgii. Brałem je może nie jak swoje, ale jak wypożyczone na wieczne nieoddanie. Gdy słuchałem *Już kąpiesz się nie dla mnie* – wyobrażałem sobie którąś ze swoich narzeczonych w wannie z telefonem, a nie Jeremiego Przyborę, rozpaczającego po tym, jak porzuciła go lubiąca się kąpać Barbara Wrzesińska, gdy Zofia Kucówna śpiewała *Kaziu, zakochaj się*, marzyłem że ktoś może pod takim pseudonimem będzie kierował to wezwanie do mnie, a nie do Kazimierza Kutza, reżysera niezbyt udanego filmu *Upał*, piosenkę *To będzie miłość nieduża* stanowczo odrzucałem, bo zawsze miałem miłości ogromne, na całe życie, a przynajmniej do końca tygodnia – tymczasem ta piosenka, podobnie jak zastrzeżenie *Nie mówmy, że to miłość* Jeremi Przybora napisał dla swojej ważnej, choć krótkotrwałej kochanki Marii Koterbskiej, którą i ja uwielbiałem, choć całkowicie platonicznie, choćby dlatego, że była prawie w wieku mojej mamy. Przechodząc przez Saską Kępę w drodze do pewnej Magdy, mijałem kawiarenkę „Sultan” i nie miałem pojęcia, że piosenka o niej wywołuje duchy rozpaczliwej miłości Starszego Pana i młodszej o 21 lat Agnieszki Osieckiej. Notabene, rozdział poświęcony temu związkowi jest może nie tyle najciekawszy, czy najbardziej wciągający – choć jest – ale jak dla mnie, najsmutniejszy: dwoje najwspanialszych poetów piosenki, genialnych „tych drugich” (*Po to wiążą słowo z dźwiękiem kompozytor i ten drugi...*) po prostu było skazanych na tę miłość, a ta miłość była skazana na zagładę, nie tylko z racji całkowicie odmiennych charakterów i stylów życia, ale i wobec faktu, że nawet będąc od siebie daleko, mówili do siebie tekstami piosenek. A Agnieszka pisała dla niego genialne wiersze, przychodziła, kochała się z nim, po czym znów uciekała, pisała wiersze – i jutro było jeszcze bardziej zwariowane niż dziś...

Przybora... Osiecka... Młynarski... Na takich twórcach ukształtowała się poetycka wrażliwość mojego pokolenia. No, nie całego – tej części, z którą najchętniej się utożsamiam.

A dziś co? Zenek?

Tak przy okazji: największą pretensję do organizatorów zakopiańskiego „Sylwestra marzeń” miałem o to, że do tego festiwalu szmiry muzycznej wsadzała co roku Marylę Rodowicz, która co prawda swoim kiczem kostiumowym przebijała wszystko, ale to był pastisz, którego naturalnie nie rozpoznawano i traktowano jak zwykły ubiór sceniczny. A Maryla śpiewała piosenki Osieckiej, które w tym towarzystwie wyły z rozpachy do księżycy.

Przynudzało trochę pierwszych 190 stron, potem wciągnęła mnie opowieść o powstaniu warszawskim, a kilkadziesiąt stron później zapisaną przez Marię Wilczek-Krupę biografię Przybory już mogłem konfron-

tować z własnymi wspomnieniami. Doskonałą stroną tej książki jest szerokie spojrzenie na tło bogatego życia bohatera, bo to tło było wspólne także i dla mojego pokolenia. Teatr „Eterek” rozbrzmiewał i w naszym mieszkaniu – byłem wtedy dzieckiem i wciąż się zastanawiałem, kim są te „eterki”, które mają ten teatr radiowy. O falach eteru w przedszkolu nie uczyli. Ale oczywiście objawieniem był dla mnie *Kabaret Starszych Panów*. Miałem prawie 11 lat, gdy telewizowie po raz pierwszy usłyszeli zapewnienie, że *już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj*. Ale tego pierwszego wieczoru, 31 grudnia 1958 roku *Kabaretu* nie oglądałem: ani wtedy, ani długo potem w naszym mieszkaniu nie było telewizora. *Kabaret* musiał jednak od razu zdobyć serca mieszkańców mojego Milanówka, bo już następny program oglądaliśmy z mamą u sąsiadów.

Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski... I główne gwiazdy *Kabaretu*: Irena Kwiatkowska, Barbara Krafftówna, Kalina Jędrusik, Wiesław Gołas, Wiesław Michnikowski, Mieczysław Czechowicz, Edward Dziewoński... Poza nimi, mniej regularnie – cała czołówka polskich aktorów. Weźcie sobie teraz wyobraźcie taki kabaret we współczesnej telewizji, ze współczesnymi autorami i współczesnymi aktorami. Tego nie można sobie wyobrazić: po prostu nie ma takich autorów i takich aktorów. I takiej telewizji. A czy są tacy widzowie, jak wtedy?

Opowieści, dłuższe lub krótsze, jakie o współtwórcach *Kabaretu* przedstawia w swojej książce autorka są zajmujące, ale pozostawiają trochę uczucia niedosytu, szczególnie brakuje mi rozwinięcia kilku wątków, związanych z Jerzym Wasowskim. Ale jest to biografia Przybory, a nie jego przyjaciół i współpracowników, zresztą o *Kabarecie* powstały osobne książki. I tak liczba postaci, przewijających się przez karty *Zuana* jest ogromna: sam indeks osób liczy 16 stron drobnym drukiem. Pewnym kłopotem jest orientowanie się w tych wszystkich związkach i koligacjach: Maria Wilczek-Krupa (co znamy już z jej poprzednich publikacji) chętnie operuje jedynie imionami osób, które powracają w narracji i nieraz musiałem cofać się o kilkanaście stron, zanim pojąłem, o kim mowa. Bo i przekrój społeczny opisywanych osób jest nader szeroki – od przedwojennych arystokratów, nie tylko polskich, przez wybitnych aktorów i dziennikarzy oraz polityków przedwojennych i peerelowskich, po rolników i rzemieślników w Pławach koło Białobrzegów, gdzie Jeremi Przybora ze swą ostatnią żoną, Alicją Wirth, mieli letni dom.

To nie jest lektura do przerzucenia przez kilka dni

beztroskiej majówki, ale trud przeczytania *Żuana Dona* wart jest podjęcia. Nie będzie łatwo, ale będzie ciekawie. Dla mnie interesujące było zestawienie dość nowoczesnego języka (nie powiem, że młodzieżowego, bo tego bez tłumacza nie rozumiem), jakim się posługuje autorka z nobliwą, językowo nadzwyczaj poprawną osobą i twórczością Jeremiego Przybory.

Wesołe jest życie staruszka, ale pod warunkiem, że staruszek ma jakieś 40, góra 50 lat. Potem zaczyna być raczej smutnawe. Aż wreszcie przychodzi konkluzja, którą Starszy Pan B. ujął lapidarnie: *Życie jako forma spędzania czasu przestało mnie interesować*. Istniał w stanie między życiem a nieżyciem od 21 sierpnia 2000 roku,

kiedy umarła Alicja. W stanie żałoby, czy – jak mawiał – *w poczekalni* przetrwał niespełna cztery lata: zmarł 4 marca 2004 roku. 20 marca został pochowany w grobie żony na warszawskim cmentarzu ewangelicko-reformowanym, tym samym, na którym leży Stefan Żeromski.

Tak czy inaczej, *Żuan Don* to lektura w dzisiejszych czasach bardzo orzeźwiająca. Jak kąpiel w rzece Styks.

Maria Wilczek-Krupa, *Żuan Don*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, 638 stron.

Galeria



Fot. Ancja Łabuszko-Łabuszewska

Jan Karski

110. rocznica urodzin

We współczesnej pamięci historycznej spotykamy dwóch Karskich – jeden jest młodym, niezmiernie odważnym, wrażliwym na cierpienia współobywateli kurierem pro-londyńskiej konspiracji, drugi – dojrzałym amerykańskim profesorem, który na kilka lat przed zbliżającą się emeryturą postanowił zdać rachunek ze swojego życia i przypomnieć światu wydarzenia, których nie tylko był świadkiem, ale w których czynnie współuczestniczył.

Karski urodził się w 1914 r. w Łodzi jako Jan Kozielski w tradycyjnej polskiej rodzinie, o korzeniach na połę szlacheckich, na połę mieszczańskich. O jego drodze życiowej zdecydował znacznie starszy brat Marian, legionista i zdeklarowany piłsudczyk, człowiek, który w 20-leciu międzywojennym zrobił karierę w szeregach polskiej Policji Państwowej. Dla Jana był wzorem do naśladowania, uosabiał sens służby ojczyźnie i odzyskanemu po latach niewoli państwu. Był też jego protektorem. Karski skończył w 1931 r. gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi. W młodości należał najpierw do Sodalicii Mariańskiej, a później, zapewne w czasach lwowskich, gdy studiował prawo i dyplomację na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza, do sanacyjnej organizacji młodzieżowej – Legionu Młodych.

We współczesnej pamięci historycznej spotykamy dwóch Karskich – jeden jest młodym, niezmiernie odważnym, wrażliwym na cierpienia współobywateli kurierem pro-londyńskiej konspiracji, drugi – dojrzałym amerykańskim profesorem, który na kilka lat przed zbliżającą się emeryturą postanowił zdać rachunek ze swojego życia i przypomnieć światu wydarzenia, których nie tylko był świadkiem, ale w których czynnie współuczestniczył. Szczególne znaczenie przypadło tej części jego misji kurierskiej, która dotyczyła dokonującej się na ziemiach polskich Zagłady narodu żydowskiego.

Poinformowanie wolnego świata o dokonującej się zagładzie polskich Żydów nie było w latach wojny głównym zadaniem Jana Karskiego. Karski był żołnierzem polskiego antyniemieckiego podziemia i o jego problemach przede wszystkim informował zarówno polskie władze emigracyjne, jak i polityków alianckich. Władze londyńskie wysłały go do USA z pierwszą misją propagandową, przyjął go wówczas na audiencji 28 lipca 1943 r. prezydent Roosevelt, by opowiedział



Amerykanom o szkodliwej działalności partyzantów sowieckich i dywersji wobec legalnych władz podziemia ze strony polskich komunistów. O losie Żydów mówił wprawdzie z własnej inicjatywy, ale całkowicie na marginesie głównego przesłania, które przekazywał w imieniu okupowanego kraju.

Karski był też w czasie wojny analitykiem, autorem wyczerpujących, dojrzałych raportów, specjalistą od spraw krajowych, a nie żadną – jak skromnie podkreślał po wojnie – taśmą magnetofonową, na której zarejestrowano głosy polityków i żołnierzy podziemia. Jego raporty miały niebywałe znaczenie. Czytano je z wielką uwagą zarówno w Angers, gdzie do kłeski Francji w 1940 r. rezydował polski rząd emigracyjny, jak i później w Londynie, a przedstawione przez niego wnioski brano pod uwagę formułując zadania dla kraju.

Karski z pewnością nie jest w Polsce, w Stanach i Izraelu postacią nieznaną, jego książki i książki o nim są ciągle dostępne w księgarniach, sfilmowane wywiady zaś łatwo odnaleźć w internecie. Nie znaczy to, by był bohaterem tak dobrze rozpoznawalnym jak Eli Wiesel czy Raul Wallenberg.

Kariera publiczna Karskiego zaczęła się w październiku 1939 roku. Wtedy bowiem adwokat Marian

Borzęcki w imieniu osobistego przyjaciela gen. Władysława Sikorskiego Ryszarda Świętochowskiego „Kalinowskiego” wysłał go z misją do polskiego rządu we Francji. W momencie wyjazdu z pierwszą misją do rządu we Francji Jan Karski (wtedy jeszcze Jan Kozielowski) w ogóle nie orientował się w strukturze podziemia wojskowego i politycznego. Niemniej jednak zarówno rząd, jak i krajowa konspiracja, potrzebowały zaufanych kurierów, inteligentnych, obdarzonych dobrą pamięcią i nienaganną postawą moralną, których mogłyby zaakceptować środowiska, do których mieli dotrzeć. O karierze Karskiego zdecydował jego przedwojenny życiorys – młody, piłsudczyk, gorliwy katolik, brat legionisty i wysoko postawionego policjanta.

Ważne były koneksje mecenasa Borzęckiego w policji, jest bardzo prawdopodobne, że znał dobrze brata Karskiego, Mariana Kozielowskiego, który od czerwca 1934 roku był komendantem Policji Państwowej na miasto stołeczne Warszawa. Współtowarzysze z konspiracji i historycy zgodnie podkreślają, że Kozielowski już 1 października oddał się do dyspozycji organizującego się dowództwa podziemnej Służby Zwycięstwu Polski (SZP) jako czynny komendant warszawskiej policji granatowej. Mniej więcej w tym czasie nawiązał również kontakty z Centralnym Komitetem Organizacji Niepodległościowych. Zapewne misję młodszego brata chciał wykorzystać także w interesie tworzącej się konspiracji policyjnej. Wszyscy policjanci, a Kozielowski jako komendant w szczególności, stanęli przed dylematem: jak pogodzić lojalność wobec polskiego państwa i rządu emigracyjnego z podległością służbową wobec władz okupacyjnych mogących zażądać przysięgi na wierność Trzeciej Rzeszy i jej Führera. Kozielowski prosił brata, by przekazał w Paryżu, że takiej przysięgi nigdy nie złoży.

Karski jadąc z misją brata do gen. Sikorskiego nie wiedział, że okupacja potrwa pięć lat i że zmusi tysiące osób do współpracy ze zniechęconym okupantem. O tym, jak widział polskie społeczeństwo z francuskiej perspektywy w lutym 1940 roku, wiadomo z dwóch sporządzonych zaraz po dotarciu do celu raportów. Pierwszy był rutynowym sprawozdaniem z podróży emisariusza-kuriera; jedna z jego części nosiła tytuł „Sytuacja ogólna w kraju, kolejna „Wybrane zagadnienia polityczno-ideowe w kraju”. Drugi miał charakter szczególny i był poświęcony „zagadnieniu żydowskiemu” w kraju.

Karski poświęcił osobny raport „kwestii żydowskiej”, mimo że specjalnie przed wyjazdem tego zagadnienia nie studiował. Pomysł, by spisał swoje obserwacje wyszedł od Stanisława Kota, jednego z najbliższych współpracowników gen. Władysława Sikorskiego, który jako jeden z niewielu ministrów dostrzegał znaczenie stosunków polsko-żydowskich zarówno w polityce wewnętrznej, jak i na arenie międzynarodowej.



O położeniu ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką Karski pisał z wyraźnym współczuciem – Żydzi zostali pozbawieni godności, wszelkich praw, wyzuci z majątku, pozbawieni możliwości zarobkowania – „żyją jakby ukradkiem, pod strachem, bezprawnie”. Katalog ograniczeń i poniżeń przedstawiony w raporcie jest bardzo obszerny. Żydem dla Niemców zaś był każdy, którego choćby jeden z rodziców należał do gminy wyznaniowej.

Szczególnie złe, według niego, było położenie wysiedleńców z tzw. ziem wcielonych do Rzeszy, których osiedlono w okolicach Lublina. Karski jako pierwszy pisał, że „robi to wrażenie, jak gdyby Niemcy chcieli tam stworzyć coś w rodzaju rezerwatu żydowskiego”. W Generalnym Gubernatorstwie Żydom wiodło się niewiele lepiej, ale Niemcy nie mieli ich stąd gdzie wyrzucić, a Polacy nie mogli stosować („nie okazują jednak jeszcze skłonności”, jak pisze Karski) metod niemieckich w swoich relacjach z żydowskimi sąsiadami. W zasadzie obowiązują tu te same przepisy segregacyjne, eksploatacja ekonomiczna i poniżające prace fizyczne.

Raport Karskiego jest najczęściej cytowany w kontekście położenia ludności żydowskiej pod okupacją sowiecką, jej względnego awansu i postaw antypolskich. Druga część raportu dotyczy ważniejszej zdaniami autora kwestii stosunków polsko-żydows-

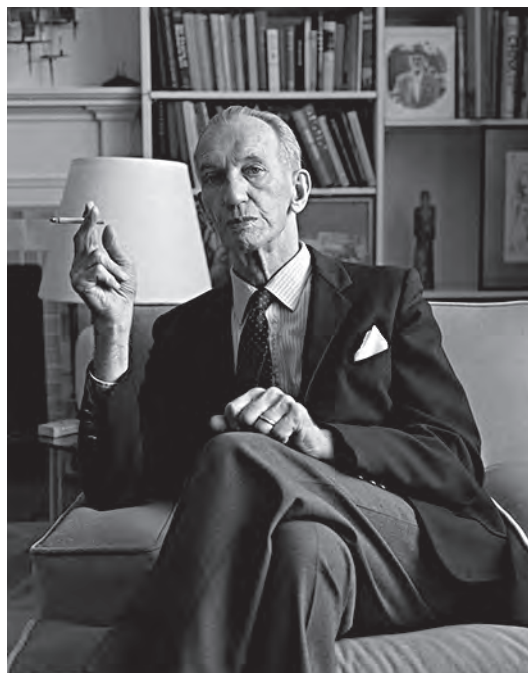
kich i polityki niemieckiego okupanta mającej na celu skłócenie obu grup narodowych. Szczerłość autora nie spotkała się jednak z pełnym zrozumieniem i Karskiego poproszono o przeredagowanie kilku fragmentów raportu, by można go było wykorzystać w akcji propagandowej. Co ciekawe, zmiany dotyczą jedynie opisu wzajemnych stosunków pod okupacją niemiecką. To, co Karski napisał o okupacji sowieckiej, odbiorcom całkowicie odpowiadało. Raport Karskiego z lutego 1940 roku dotyczący losu polskich Żydów był jednym z pierwszych źródeł wiedzy o tych sprawach w kręgach rządowych. A rząd, wydaje się, był szczególnie zainteresowany tym, jak układały się relacje między Polakami i Żydami właśnie na Kresach Wschodnich.

Z ponad dwumiesięcznego pobytu we Francji Karski sporą część poświęcił przygotowaniom do misji powrotnej. Z Francji dotarł do Budapesztu a następnie do Zakopanego, skąd w pierwszych dniach maja pociągiem pojechał do Krakowa. Karski wyjechał z Krakowa do Warszawy 7 maja 1940 roku po ustaleniu przez Pilca szczegółów ppłk. Marianem Kozielowskim. Tragicznym zbiegiem okoliczności pułkownika tego właśnie dnia aresztowało gestapo, następne 11 miesięcy spędził w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Z Kozielowskim aresztowano 68 oficerów Policji Polskiej, której Niemcy niezbyt ufali.

Nie jest wciąż jasne, z kim najpierw Karski nawiązał kontakt w Warszawie, być może tą osobą był działacz ludowy Stefan Korboński (szef Kierownictwa Walki Cywilnej, a od 15 lipca 1943 roku działu oporu społecznego w Kierownictwie Walki Podziemnej), który o Karskim zachował bardzo dobre wspomnienie. Korboński odnotował w swoich wspomnieniach, że Karski zdając relację ze swojej misji, „zrobił duże wrażenie na wszystkich obiektywnością, z jaką przedstawiał wszystkie zagadnienia oraz doskonałą pamięcią, obejmującą nawet najdrobniejsze szczegóły”.

Do instrukcji rządu przekazanych przez Karskiego władze polityczne podziemia odniosły się pozytywnie. Na posiedzeniach stronnictw politycznych, na które wzywano Karskiego, dyskutowano o kandydatach na delegata rządu i „materiałach”, które przewiózł z Francji. Nie jest do końca jasne, jak długo Karski przebywał kraju i z kim jeszcze się kontaktował. W raporcie pisał jedynie: „kraj opuściłem w powrotnej drodze do rządu w drugiej połowie czerwca 1940 roku”.

Karski z Krakowa pojechał w maju 1940 r. do Nowego Sącza, gdzie zatrzymał się w domu Stefana Rysia. Ryś wraz ze stryjcznym bratem Zbigniewem organizowali od jakiegoś czasu przerzuty kurierskie na Węgry dla Organizacji Wojskowej płk. Tadeusza Komorowskiego. Jednym z bardziej doświadczonych kurierów-przewodników na szlaku do Budapesztu był Franciszek Musiał „Myszka”, piekarz z Piwnicznej, i to on właśnie miał poprowadzić naszego bohatera. Ryś wyznaczył marszrutę: z Nowego Sącza w kierunku Rytra



i Koszarzysk, a stamtąd na Starą Lubowię na Słowacji. Czwartego dnia musieli zejść ze szlaku – Karskiemu odmówiły posłuszeństwa nogi, obtarte w niedopasowanych narciarkach – by przenocować w zaprzyjaźnionej melinie we wsi Demjata niedaleko Koszyc. Gospodarz zdradził ich. Wezwał żandarmów, którzy zabrali Karskiego i „Myszkę” do aresztu w Preszowie. Mikrofilm, który w Krakowie wręczył mu w imieniu Stronnictwa Narodowego Tadeusz Surzycki, udało się w momencie zatrzymania wrzucić do wiadra z pomyjami i szczęśliwie większa jego część uległa prześwietleniu.

Przesłuchujący Karskiego gestapowcy sporo wiedzieli o aktywności polskiego podziemia i ruchu kurierskim przez Słowację, nie dali więc wiary jego tłumaczeniom. A on mówił im, że ucieka ze Lwowa przed Sowietami, że zamierzał dotrzeć do Szwajcarii, by tam wśród genewskich przyjaciół przeczekać wojenną zawieruchę. W Warszawie spotkany przypadkowo szkolny kolega powierzył mu film ze zdjęciami ruin polskiej stolicy, który miał przekazać pod podany adres w Koszycach. Wszelkie próby zaprzeczenia, że nie jest kurierem podziemia, kończyły się silnymi uderzeniami gumowej pałki.

Gestapowcy nie byli wybitnymi śledczymi albo zlekceważyli swoją zdobycz, uznając przez jakiś czas Karskiego za zwyczajnego uciekiniera do polskiego wojska.

W umywalni w słowackim więzieniu znalazł starą żyłkę, ukrył ją. Kolejne przesłuchanie poprowadził bardziej doświadczony oficer SS, który najpierw przedstawiał mu wizję nieuniknionej klęski aliantów i nowego porządku w Europie, po czym przeszedł do tortur. Po tym przesłuchaniu Karski podciął sobie żyły. On, gorliwy katolik, nie widział innego wyjścia. Z prześwietlonego mikrofilmu Niemcy odzyskali trzy klatki z fragmentem niezaszyfrowanego raportu podziemia. Nie było szansy, by oprawców oszukać, Karski bał się, że nie przetrzyma kolejnego przesłuchania.

Próba samobójstwa nie powiodła się, Karskiego odratowano. Karski odzyskał świadomość w szpitalu w Preszowie, przywiązany do łóżka pasami. Po tygodniu gestapo przewiozło go do szpitala siostr szarytek w Nowym Sączu, by, gdy dojdzie do siebie, znów go przesłuchać. Tu jako pierwszy nawiązał z nim kontakt dr Jan Słowikowski. Poradził mu, by wezwał księdza, przez którego będzie mógł skontaktować się z podziemiem. Zapewne więc przez lekarza wysłał gryps do mieszkającej w Nowym Sączu siostry Stefana Rysia, Zofii. Odwiedziła go kilka dni później przebrana w strój szarytki. Podczas kolejnej wizyty oprócz owoców przyniosła mu truciznę, o co ją prosił.

Karski wymknął się Niemcom. Akcję zorganizowali przyjaciele, młodzi socjaliści, na osobiste polecenie kierującego krakowską organizacją Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS-WRN) Józefa Cyrankiewicza, który konsultował się w tej sprawie z płk. Tadeuszem Komorowskim. Aresztowanie groziło Karskiemu kilkakrotnie w Krakowie w czasie siedmiomiesięcznej pracy konspiracyjnej, tylko dzięki pomocy ludzi, u których mieszkał, udawało mu się w porę zmienić mieszkanie i tożsamość. Na wieść o pierwszych aresztowaniach Karski natychmiast opuścił miasto. W październiku 1941 roku został przeniesiony do Warszawy. Przeniesienie nastąpiło w związku z aresztowaniami na wielką skalę na terenie Krakowa – pisał w raporcie z 1944 roku.

W stolicy Karski musiał zachować ścisłą konspirację, wiele osób znało go z pracy w MSZ, poza tym w mieście mieszkali jego trzej bracia i siostra, której męża Niemcy zamordowali w listopadzie 1939 roku. Karski objął funkcję kierownika referatu informacji politycznej przy Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej, otrzymując jednocześnie zadanie łączności z Delegaturą Rządu i informowania jej w miarę potrzeby o obrazie życia podziemnego kraju. Trzecią funkcją było utrzymywanie łączności między Komendą Główną a poszczególnymi ośrodkami politycznymi w kraju. Łączność ta była o charakterze urzędowym, choć nieoficjalnym. Niezależnie od powyższego, Delegatura Rządu mu od czasu do czasu zadania nawiązania kontaktu z poszczególnymi mniejszymi grupami politycznymi. W tym charakterze pracował w kraju do października 1942 roku. „Funkcja kierownika referatu informacji politycznej przy Komendzie Głównej”, tak jak to ujął nasz bohater, mogła do-

tyczyć jedynie pracy w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK. Od początku struktura BIP była zaprojektowana tak, by z jednej strony zdobywać i analizować informacje o polityce niemieckiej w kraju i reakcjach na nią społeczeństwa, z drugiej zaś za pośrednictwem konspiracyjnej prasy na społeczeństwo oddziaływać. Gdy Karski dotarł z Krakowa do Warszawy, po kilku dniach umówiono go na spotkanie z szefem BiP „Prezesem” Janem Rzepeckim, ten zaś oddelegował go do „Inżyniera”, czyli szefa Wydziału Informacji BIP inż. Jerzego Makowieckiego. Makowiecki przydzielił go do podwydziału badającego postawy polityczne społeczeństwa, a konkretnie do komórki badań nad prasą i wydawnictwami stronnictw politycznych. Zrażony lekturą wydawanego przez prawicę „Szańca” i skrajnie szowinistycznymi poglądami jego redaktorów, przeszedł Karski do nasłuchu radiowego.

Z kim z podziemia, poza bezpośrednimi przełożonymi, kontaktował się Karski, zanim zapadła decyzja o jego misji kurierskiej do Londynu? W powojennych opowieściach Karskiego pojawia się lekarz i żołnierz Legionów, a w latach trzydziestych starosta grodzki w Warszawie-Śródmieściu Tadeusz Miklaszewski – być może poznał go za pośrednictwem brata – od maja 1942 roku szef Wydziału Bezpieczeństwa Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury. Miklaszewski miał go namówić na spotkanie z Romanem Knollem, dyplomatą (był posłem w Rzymie i Berlinie) i krótko w 1926 roku urzędującym wiceministrem spraw zagranicznych. W lutym 1943 roku powierzono mu zorganizowanie Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury, którym później kierował. Knoll pozostawał w bliskich stosunkach z delegatem rządu Cypriem Ratajskim. Mieszkał pod Warszawą i wydaje się, że Karski u niego bywał i to on pierwszy zapytał go, czy jest zainteresowany misją do Londynu. On także przekonał do tego pomysłu delegata rządu.

Drugie środowisko, z którym Karski był w tym czasie blisko związany, skupiało się wokół Zofii Kossak-Szczuckiej, znanej pisarki i działaczki społecznej, oraz bliskiego jej politycznie działacza Frontu Odrodzenia Polski i Delegatury Rządu Witolda Bieńkowskiego „Jana”. Oboje wywarli na Karskim wielkie wrażenie. Właściwie nie wiemy, w jaki sposób ich poznał. Zapewne stało się to na początku 1942 roku, już po założeniu Frontu Odrodzenia Polski; może czytał wcześniej artykuły Kossak-Szczuckiej publikowane w piśmie „Polska żyje” wydawanym przez Komendę Obrońców Polski. Do wojny Kossak była nie tylko znaną autorką powieści historycznych, lecz i przekonaną antysemitką atakującą Żydów z pozycji ultrakatolickich.

Zofia Kossak-Szczucka od początku współpracy z „Polska żyje” interesowała się położeniem ludności żydowskiej, nasilającymi się wobec nich represjami oraz zmieniającymi się relacjami polsko-żydowskimi. Jak wiemy, nie był to temat obcy Karskiemu, przygotował obszerne opracowanie dla ministra Kota. Zapewne więc rozmawiali na ten temat, można przypuszczać, że to Kossak-Szczucka uczuliła go na tragedię żydowską. Przełomem dla działaczy FOP była z pewnością wielka akcja deportacyjna z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince, która rozpoczęła się 22 lipca 1942 roku i trwała jedynie z kilkoma dniami przerwy do 21 września.

W sierpniu 1942 roku Jana Karskiego poznał Władysław Bartoszewski. Bartoszewski zachował wspomnienie o nim jako o pewnym sobie, stanowczym, ale i wnikliwym rozmówcy. Karski pytał go o pobyt w Oświęcimiu, o detale architektoniczne i stan budynków pokoszarowych – wiedział, o co pytać, gdyż był tam skoszarowany we wrześniu 1939 roku. Wydaje się, że to on zdecydował o późniejszej karierze Bartoszewskiego w dziale kolportażu FOP, a następnie redakcji „Prawdy”. Bliskie związki z Kossak-Szczucką zdecydowały o włączeniu się Bartoszewskiego do prac najpierw Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom, a następnie Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Karski nie mógł już do tej akcji się włączyć, gdyż szykował się do misji kurierskiej do Londynu. Nie wiemy, czy Karski był członkiem Frontu Odrodzenia Polski. Z pewnością był to związek z FOP bardzo bliski i był konsekwencją jego przekonań i wyborów moralnych. Wciąż jednak pozostaje niejasne, czy nawiązał te kontakty z polecenia przełożonych z BIP, czy były to kontakty równoległe, niezależne od właściwych zajęć w konspiracji. Nie wiemy też, czy deklarację ideową FOP zabrał do Londynu z własnej inicjatywy.

Wiele wskazuje, że Karski mógł wyjechać z Warszawy do Paryża już między 12 a 18 lub 19 września 1942 r. 23 sierpnia Karskiego zaproszono na posiedzenie Politycznego Komitetu Porozumiewawczego. Posiedzenie otworzył delegat rządu. W części, która nas interesuje, dotyczyło ono „przekazania kurierowi Witoldowi materiałów dla rządu w Londynie oraz dla przedstawicieli stronnictw przy rządzie. Materiały dotyczą sytuacji w Polsce i ruchu podziemnym”. Politycy zakładali, że będzie kontaktował się także „z władzami państw sprzymierzonych” i że za zgodą rządu poinformuje aliantów o niemieckim terrorze i sile polskiego podziemia. Delegat zażądał obietnicy zachowania całkowitej bezstronności, podkreślił też, że misja ma charakter polityczny, a nie wojskowy. Miano mu też przekazać protokół obrad, który zaszyfrowano i zmikrofilmowano.

Karski z przedstawicielami żydowskiej konspiracji – Adolfe Feinerem i Menachemem Kirszebaumem – spotkał się oddzielnie w konspiracyjnym mieszkaniu nieopo-

dal getta zapewne w ostatnich dniach sierpnia. Miało ono miejsce między 28 sierpnia a 2 września, a dzień później Karski odwiedził getto warszawskie. Niemcy zrobili wówczas przerwę w spędzaniu z ulic getta ludności żydowskiej na Umschlagplatz przy ulicy Stawki, skąd odjeżdżały transporty do Treblinki. W tych dniach przeprowadzali kolejno selekcję zdolnych do pracy w kolejnych zakładach – Brauera na Nalewkach, Schillinga na Nowolipiu, Hallmana na Nowolipkach 59, Frankego i Schultza na Smoczej 37. Mieściły się one w zachodniej części getta i można założyć, że w części wschodniej panował względny spokój. Karski dostał się do getta być może przez zbudowany przez Żydowski Związek Wojskowy tunel, łączący „aryjską” kamienicę przy ulicy Muranowskiej 6 z żydowską przy Muranowskiej 7. Była to narożna kamienica na placu Muranowskim, w sąsiednim nowoczesnym, betonowym budynku mieścił się w czasie powstania w getcie w kwietniu 1943 roku sztab Żydowskiego Związku Wojskowego, na jego dachu wywieszono słynne dwa sztandary – polski i żydowski.

Karski spotkać się miał z Feinerem i Kirszenbaumem na polecenie delegata rządu. W relacjach ustnych wiele lat po wojnie precyzował, że prosił go o to Cyryl Ratajski na ostatnim ich spotkaniu w domu Romana Knolla. Wydaje się, że spotkanie było inicjatywą Leona Feinera „Mikołaja”, który po powrocie w połowie 1941 roku spod okupacji sowieckiej (był więziony przez NKWD i zapewne wydostał się na wolność z powodu paniki w pierwszych dniach wojny niemiecko-sowieckiej) do Warszawy, zamieszkał poza gettem i służył pomocą towarzyszom z Bundu. On też w sierpniu 1942 roku jako pierwszy z działaczy getta nawiązał kontakt z Henrykiem Wolińskim z BIP, który kierował referatem żydowskim.

Kirszenbaum znał znacznie lepiej niż Feiner stosunki panujące w getcie, w którym mieszkał od początku, między innymi przy ulicy Leszno 56. Emanuel Ringelblum w Kronice getta warszawskiego wspomina go jako swojego znajomego, członka dyrekcji Jointu, z którym spotkał się kilkakrotnie, by omówić sprawy funduszy na pomoc społeczną dla najuboższych. Podobno należał do prezydium warszawskiej Komisji Koordynacyjnej Żydowskiej Samopomocy Społecznej oraz prowadzonej przez Żydowskie Towarzystwo Opieki Społecznej organizacji promującej kulturę hebrajską „Tkuma”. W imieniu tzw. syjonistów ogólnych Kirszenbaum wszedł w styczniu 1940 roku do Zespołu Przedstawicieli Stronnictw Politycznych, a w październiku 1942 roku do Żydowskiego Komitetu Narodowego (ŻKN), następnie zaś do Komisji Koordynacyjnej, czyli wspólnego politycznego przedstawicielstwa ŻKN i Bundu.

W prace Żegoty raczej się nie włączył i nie dając so-



Pamiątkowa tablica w Montenegro

bie rady po tzw. stronie aryjskiej, zgłosił się latem 1943 roku do Hotelu Polskiego, licząc, że dzięki paszportowi któregoś z państw Ameryki Południowej uda mu się wyjechać do francuskiego obozu dla internowanych w Vittel, a stamtąd poza Europę. Większość „ujawnionych” Żydów Niemcy wysłali między lipcem a październikiem 1943 roku do Vittel i do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen, a stamtąd w kolejnych miesiącach do komór gazowych w Auschwitz (łącznie 1800 warszawskich Żydów). Około 300 mieszkańców Hotelu Polskiego gestapo rozstrzelało na Pawiaku.

Podczas spotkania z Karskim Feiner prosił o przekazanie w Londynie, że Żydzi są całkowicie bezradni, że „zagłada jest faktem” i dotyczy wszystkich Żydów, bez żadnych wyjątków, a polskie podziemie jest co najwyżej w stanie uratować nielicznych. Dlatego, mówił, „cała odpowiedzialność spoczywa na potężnych aliantach. Niech żaden przedstawiciel w Lidze Narodów nie śmie tłumaczyć, że nie wiedział, co się tu dzieje! Rzeczywista pomoc Żydom może nadejść tylko z zewnątrz!”.

Karski mocno podkreśla, że właśnie to miał „przekazać wolnemu światu”. Rozmówcy zapewniali go, że dane są ściśle, że liczba prawie 2 mln dotychczasowych ofiar wyłania się z podsumowania niemieckich rozkazów deportacyjnych, że z samej Warszawy wywożono od lipca tego roku 5 tys. osób dziennie — nikt nie wracał, nikt nie dawał znaku życia. Getto jest całkowicie wyludnione.

W trakcie drugiego spotkania Karski pytał swoich rozmówców, o co konkretnie ma apelować w imieniu polskich Żydów. Kirszenbaum prosił o „bezlitosne bombardowanie miast niemieckich, a po każdym bombardowaniu zrzuć ulotki informujących o losie Żydów”, o „egzekucję wszystkich Niemców, gdziekolwiek wpadną w ręce sprzymierzonych”. Feiner był sceptyczny, nie wierzył, by alianci zdecydowali się na bombardowania

odwetowe, raczej pokładał nadzieje w dyplomacji, w jasnym poinformowaniu Niemców, że odpowiedzią na niemiecką politykę eksterminacji i zagłady narodu żydowskiego zostanie skierowana akcja przeciwko narodowi niemieckiemu. Karski wyruszył z Feinerem do warszawskiego getta dwa dni po drugim spotkaniu. Gdy wyszedł z tunelu, przebrał się w zniszczone ubrania i stanął na placu Muranowskim, pierwszym jego wrażeniem był tłok, masa ludzi na ulicach.

Obrazy z getta zawarł Karski w wydanej w Stanach w 1944 r. książce *Story of the Secret State* i połączył je z relacją z późniejszego spotkania w Londynie ze Szmulem Zygielbojmem, który z Warszawy wyjechał w 1940 roku. Spotkali się 2 grudnia w siedzibie polskiego MSW w Stratton House. Zygielbojm słuchał suchej opowieści w ogromnym skupieniu, nie zaskoczyła go też konkluzja Karskiego, że alianci, z którymi rozmawiał w sprawie pomocy lub ewentualnego odwetu, zachowają się tak, jak przewidywali warszawscy rozmówcy Karskiego – „Niemożliwe. Wykluczone. Absurd. Tego nie da się zrobić”. Przekazał mu też szczerze, czego umierający Żydzi żądają od swoich przedstawicieli: „Macie umierać powolną śmiercią na oczach całego świata. Może to wstrząsnie ludzkimi sumieniami”.

Zygielbojm 12 maja 1943 roku na wieść o klęsce powstania w warszawskim getcie popełnił samobójstwo. Zostawił list do prezydenta i premiera RP.

Chcemy pana wprowadzić do obozu w Bełżcu – taką zaskakującą propozycję złożył Karskiemu na kolejnym, trzecim już spotkaniu Feiner. W obozie miał panować całkowity chaos, strażnicy zaś byli zazwyczaj pijani. Karski miał tam wejść w przebraniu ukraińskiego strażnika. Nazwa Bełżec wcale nie była wówczas powszechnie znana, więcej wiedziano o Treblince i Sobiborze z powodu po części udanych ucieczek więźniów. Jeśli nie do Bełżca, to gdzie Karski pojechał? Wiele wskazuje na Izbicę Lubelską, choć wiele szczegółów jednak nie pasuje. Obszerny i niezmiernie dramatyczny fragment poświęcił Karski załadunkowi 30 wagonów towarowych, które następnie wyruszyły do Bełżca bądź Sobiboru. Niemieccy strażnicy strzelali w tłum, ludzie ławą ruszyli do przodu, krzycząc przeraźliwie. W jednym wagonie upychano nawet 140 osób, w potwornym ścisku. Dodatkową torturą było parujące wapno rozrzucone na podłodze, wielu więźniów dusiło się w czasie drogi. Pociąg odjechał, a esesmani dobijali strzałami z pistoletów pozostałych na peronie rannych.

Przed wyjazdem do Izbicy Karski w ramach przygotowań do wyjazdu odbył wiele ważnych spotkań politycznych. Na dworzec wyruszył prosto z porannej

mszy w kościele Świętego Krzyża, gdzie żegnali go najbliżsi przyjaciele z FOP — Zofia Kossak-Szczucka, Witold Bienkowski, ksiądz Edmund Krauze.

Od momentu dotarcia do Londynu Karski przez następne dwa lata pozostał w służbie dyplomatycznej. Z tego też powodu zapisał się w pamięci pokoleń przede wszystkim nie jako żołnierz powstańczej armii i odważny emisariusz podziemia, lecz jako dyplomata, który wpłynął na bieg toczących się na jego oczach wydarzeń. Tym wydarzeniem była jego misja przekonania wpływowych polityków, a także obywateli państw alianckich, że w Polsce ginie naród żydowski, misja, której oddał się z pełnym poświęceniem. Jej rezonans odczuwany jest do dziś dnia, a sam Karski dzięki swoim zasługom na tym polu stał się ikoną „prawego Europejczyka”, pierwowzorem późniejszych Sprawiedliwych wśród narodów świata nagradzanych od 1960 roku przez izraelski Instytut Yad Vashem prestiżowym medalem.

Oprócz pięciu najważniejszych partii politycznych działających w konspiracji w kraju, Karski był upoważniony również do reprezentowania Frontu Odrodzenia Polski, Bundu „w imieniu całego żydostwa” oraz warszawskiego kleru. W Londynie miał dotrzeć oprócz gen. Sikorskiego do sześciu ministrów, dziewięciorga polityków oraz biskupa Gawliny.

Do Londynu emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego przybył „okryty glorią męczeństwa”, jak wspomina jego przyjaciel jeszcze ze Lwowa Jerzy Lerski. Wicepremierowi Stanisławowi Mikołajczykowi Karski złożył pierwszy ustny raport. Mówił głównie o zagładzie Żydów i konieczności udzielenia im natychmiastowej pomocy. Mikołajczyk zdecydował, że emisariusz potrzebuje kilku tygodni spokoju, by spisać swoje zadania, odpocząć i, co zapewne było najważniejsze, doczekać powrotu gen. Sikorskiego z kolejnej wizyty w USA.

W ciągu miesiąca Karski przygotował „Tajny raport dla gen. W. Sikorskiego, dyktowany w styczniu 1943 roku w czasie jego podróży do USA, Kanady, Meksyku; notowała Walentyna Pacewicz, raport został wręczony p. Kułakowskiemu”. Wspominany raport to obiektywny opis sytuacji politycznej w kraju – już sama jego struktura wskazuje na hierarchię spraw, którymi żyło w tym czasie podziemie – ponadto pokazuje, jaką wagę przykładął Karski do formy tej narracji, chcąc wskazać politykom emigracyjnym optymalne z punktu widzenia kraju metody propagowania sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Odkrywa też dominujący rys jego osobowości: z każdego słowa, każdego zdania raportu przebija duma z osiągnięć polskiej konspiracji, postawy społeczeństwa, siły więzi obywatelskich, wiary w rychłe zwycięstwo nad Niemcami.

Raport otwierają uwagi dotyczące delegata rządu i jego

działalności. Karski rozmawiał z Cyrylem Ratajskim co najmniej dwukrotnie. Kolejne zagadnienie dotyczyło „komendanta sił zbrojnych w kraju”. Wszystkie stronnictwa polityczne przekazały za pośrednictwem Karskiego swoje opinie. Karski zaczął od Stronnictwa Narodowego. Stronnictwu Pracy poświęcił tylko jedną stronę raportu. Socjaliści i ich spory zajęły aż osiem stron, z widoczną przewagą uwag o działalności ugrupowania o nazwie Polscy Socjaliści. Stronnictwo Ludowe bez żadnych specjalnych z jego strony starań stało się stronnictwem kluczowym w polskim wachlarzu politycznym, co wydaje się działaczom ludowym całkowicie uzasadnione, gdyż trzon polskiego społeczeństwa, jego najliczniejszą i najbardziej twórczą warstwę, stanowi polski chłop.

W raporcie Karskiego ważne miejsce zajmuje jedenastostronicowe opracowanie pt. *Działalność agentur sowieckich na ziemiach polskich* (rozdział XVII); Karski będzie tę część raportu intensywnie wykorzystywał podczas pobytu w USA. W pozostałej części raportu Karski pisze przede wszystkim o nasilającym się terrorze okupanta oraz o zmianie nastrojów w kraju – różne grupy społeczne coraz bardziej zdecydowanie żądają przejścia do czynnego oporu i walki partyzanckiej oraz wykazują znaczną radykalizację postaw w kwestiach socjalnych.

Każdy dzień Karskiego w Londynie był wypełniony pracą – przygotowywał swój raport polityczny z kraju, uczestniczył w ważnych spotkaniach politycznych. Według jego zapisków w grudniu, jeszcze przed powrotem gen. Sikorskiego z USA, spotkał się kilkakrotnie z Frankiem Saverym, pracownikiem ambasady angielskiej przy polskim rządzie. Podczas pierwszego spotkania rozmawiali głównie o sprawach wojskowych i o Żydach.

Na początku 1943 r. przyjął Karskiego wreszcie premier Władysław Sikorski w swojej rezydencji w Iver i ostro go przepytywał. W styczniu Karski dostał etat w sekretariacie premiera, wówczas też doszło do pierwszego spotkania z Hieronimem Retingerem, podczas którego wiele dyskutowano o sprawach żydowskich. Retinger przeegzaminował Karskiego z języka angielskiego, zakładając, że będzie prezentował sytuację w kraju politykom alianckim.

Jako pierwszy z ważnych polityków alianckich wysłuchał przygotowanego przez Karskiego komunikatu ambasador angielski przy rządzie emigracyjnym Owen O'Maley, który głównie dopytywał się o stosunki polsko-sowieckie. Kolejnym ważnym rozmówcą był ambasador Stanów Zjednoczonych Anthony Drexel-Biddle (przed wojną ambasador w Polsce). Omawiali głównie sprawy żydowskie i możliwości emigracyjne (ambasador uważał, że USA raczej kwot emigracyjnych dla Żydów nie zwiększy). Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden przyjął Karskiego na przełomie stycznia i lutego

(Wood, Jankowski 1996). Eden interesował się organizacjami komunistycznymi działającymi w kraju, a Karski poinformował go, że polskie podziemie obawia się kontaktów z komunistyczną Polską Patrią Robotniczą, gdyż uważa działaczy tej partii za agentów NKWD walczących o 17 republikę sowiecką w miejsce niepodległej Polski. 4 lutego Karski otrzymał od Edena zaproszenie na kolejne spotkanie, tym razem z udziałem lorda Selbourn (Roundell Cecil Palmer), szefa brytyjskiego Kierownictwa Operacji Specjalnych (SOE). Selbourn podpytywał o możliwe ustępstwa polskie wobec Sowietów co do przebiegu granicy wschodniej w zamian za ziemie zachodnie, na co usłyszał, że „przywódcy Podziemia wymówiliby posłuszeństwo rządowi i utworzyli tajny rząd w kraju”. Karski wyjaśniał swoim rozmówcom, że Polacy walczą z takim uporem, bo tak im nakazuje tradycja, ale nawet najsilniejsza wola walki nie wystarczy, jeśli zabraknie przywódców, a to może wkrótce nastąpić z powodu znacznego wyniszczenia inteligencji. Rozmawiali też na temat sytuacji Żydów w okupowanej Polsce. Karski mówił o „specjalnej organizacji przy Delegaturze Rządu”, która ma się zająć współpracą z konspiracją żydowską, Selbourn zaś tłumaczył, że żądanie odwetowych nalotów na Niemcy jest nierealne, ponieważ, po pierwsze, takie naloty źle wpłynęłyby na lotników, a po drugie byłyby wodą na młyn niemieckiej propagandy, głoszącej, że wojna światowa została wywołana przez Żydów. Również wykupienie jakichś grup zagrożonych eksterminacją jest niemożliwe, bo po wojnie z pewnością mówiliby się, że alianci wspierali materialnie Niemców.

W maju 1943 roku zapadła decyzja o wyjeździe Karskiego z misją propagandową do Stanów Zjednoczonych. Od samego początku pobytu w USA stał się Karski główną atrakcją polskiej ambasady. Rolę ambasadora Jana Ciechanowskiego w organizacji swojego pobytu w USA Karski mocno podkreślił już w pierwszym raporcie z 24 lipca 1943 roku – dotarłem do najważniejszych ludzi świata administracyjnego, prasowego i dotrę również do świata politycznego. To Jan Ciechanowski, a nie wysyłający go z Londynu, kierujący propagandą minister Kot, określił priorytety wizyty – Karski miał pozyskać sympatię największych osobistości amerykańskiego establishmentu dla okupowanej Polski. Miał opowiedzieć Amerykanom o niemieckim terrorze, którego skala nie ma precedensu w dziejach, wielkim harcie ducha Polaków, wytrwale prowadzonej walce podziemnej i wierności dla rządu emigracyjnego i o tym, że Polacy – jako jedyni w podbitej Europie – zorganizowali Państwo Podziemne. Ale przede wszystkim miał im uświadomić, że zagrożeniem dla polskiej konspiracji jest nie tylko gestapo, ale też rodzimi komuniści wspierani przez sowieckich agentów i dywersantów.



Pomnik Jana Karskiego w Tel-Awivie

Spotkanie Karskiego z prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem odbiło się żywym echem w świecie polityki. Reakcje były niezłe, sekretarz stanu Cordell Hull miał chwalić Karskiego przed ambasadorem Ciechanowskim, że wręcz zauroczył prezydenta, który we wszystko mu uwierzył. W całej misji amerykańskiej było to niewątpliwie spotkanie najważniejsze, doszło do niego w środę 28 lipca 1943 roku, w obecności ambasadora Ciechanowskiego (Ibidem). Karski rozmawiał z Rooseveltem godzinę i piętnaście minut, czyli ponad pół godziny dłużej, niż planował prezydent, który spóźnił się z tego powodu na następne spotkanie. Rozmawiali w jego prywatnych apartamentach.

Po wyrażeniu wdzięczności, że prezydent zechciał go osobiście poznać, i zapewnieniu prezydenta, że jest w Polsce postacią znaną i popularną – „jako ten, który będzie i powinien organizować pokój na zasadach sprawiedliwości i ludzkości (human principles) – Karski zaczął odpowiadać na kolejne pytania. W pewnym momencie ambasador Ciechanowski zasugerował, by prezydent pozwolił Karskiemu na dłuższą i bardziej szczegółową wypowiedź na temat struktury polskiej konspiracji. Prezydent do uwag Karskiego odniósł się entuzjastycznie: Nigdy nie przypuszczałbym, że w takich warunkach można stworzyć tak starannie przemyślaną organizację. Chyba tylko Polacy mogli się na to zdobyć. Prezydent dopytywał się, jaką rzeczywistą siłą dysponują oddziały sowieckie działające na ziemiach polskich. Karski mówił o kilku tysiącach osób, i o tym, że łatwo można by je zlikwidować, gdyby nie racja stanu i względy humanitarne. Przeciwny takiej akcji był stanowczo gen. Sikorski, powołując się na przykład jugosłowiański. Następnie Karski referował znaczenie dla życia politycznego w kraju powstania PPR. Żegnając się z prezydentem, Karski zapytał, czy może tę rozmowę powtórzyć w Polsce. Roosevelt

wyraził zgodę i życzył mu szczęśliwego powrotu do kraju.

Karski do Waszyngtonu wrócił po turze spotkań z Polonią w Chicago w końcu sierpnia, tu czekał nań już list od ministra Kota, wzywający go do powrotu do Londynu, miano mu tam powierzyć odpowiedzialne stanowisko w Ministerstwie Informacji i Propagandy. W pierwszej połowie września wypłynął do Londynu, gdzie dotarł 19 września.

W stolicy Wielkiej Brytanii nasz bohater przebywał prawie pół roku, nie zachowało się jednak zbyt dużo informacji, czym się tam zajmował. W Londynie najwyraźniej nie wiedzano, co z Karskim zrobić, jak wykorzystać jego talenty. Do kraju nie mógł wracać, gdyż jakiś niemiecki agent doniósł do Europy o jego publicznych wystąpieniach w USA, pisała o tym podobno niemiecka prasa. Otrzymał odmowę na prośbę, by skierować go do wojska, na przykład do szykującego się do walk we Włoszech 2. Korpusu. W samym Londynie na krótko skierowano go ponownie do radiostacji „Świt”, by podtrzymał morale pracowników.

Już w listopadzie zaczęto się zastanawiać czy odesłać go z powrotem do USA. Karski wyruszył ze Szkocji do Stanów z drugą misją 21 lutego 1944 roku. Nie wiadomo, czy Karski już w Anglii zaczął pracować nad *Tajnym państwem*, czy dopiero w Stanach pod wpływem działalności propagandowej, której się tam poświęcił. W marcu 1944 roku nagrał kilka programów radiowych i przygotował szkice artykułów o polskiej konspiracji i swoich przygodach dla najważniejszych amerykańskich pism – „Washington Post”, „Collier”, „Time” i „Life”. Na przełomie marca i kwietnia nawiązał także kontakt z Emerym Reevesem, agentem literackim, mającym w swoim portfolio edycje pism Winstona Churchilla i Anthony’ego Edena. Reeves okazał się zainteresowany wydaniem.

Począwszy od maja 1944 roku, przez półtora roku Karski jako autor zapowiadanego, a od listopada faktycznego bestsellera miał ponad 200 wystąpień, na których było łącznie obecnych ponad 150 tys. osób. Pierwsze obszerniejsze fragmenty książki prasa amerykańska – „Collier”, „The American Mercury”, Harper’s Bazaar”, „Life” i „Jewish Forum” – opublikowała we wrześniu. W październiku 1944 roku *Tajne państwo* wybrano na książkę miesiąca (grudnia), decyzję ogłoszono podczas uroczystego wieczoru w nowojorskim hotelu Waldorf-Astoria. Karski przemawiał wówczas obok aktorki Shirley Temple i kongresmena J. Williama Fulbrighta.

Tajne państwo ukazało się drukiem 28 listopada 1944 roku, cztery dni po ogłoszeniu przez Mikołajczyka dymisji z funkcji szefa rządu. Absolutna większość recenzji, jakie w pierwszych tygodniach zebrała książka Jana Karskiego, była entuzjastyczna, być może po części z powodu fali współczucia dla Polaków – każdy dzień przynosił bowiem coraz to nowe dowody niemieckich, a później także sowieckich zbrodni. Amerykańska opinia publiczna stopniowo dowiadywała się, iż w Teheranie mocarstwa zachodnie oddały Polskę sowieckiemu so-



Pomnik Jana Karskiego w Warszawie

jusznikowi w zamian za obietnicę wypowiedzenia wojny Japonii.

Książka rozchodziła się wspaniale, w pierwszych dniach sprzedano 50 tys. egzemplarzy, wydawnictwo zdecydowało się na gigantyczny dodruk – 350 tys. egzemplarzy. Od razu też podpisano umowy na tłumaczenia na francuski, norweski i szwedzki. Sześć miesięcy Karski podróżował po Stanach, promując swoją książkę.

W maju 1945 roku były amerykański ambasador w Niemczech Hugh Wilson pozyskał go do zorganizowanej przez Herberta Hoovera misji zabezpieczenia dokumentacji akt rządów emigracyjnych działających w Anglii. (Umieszczono je później w nowo powstałym Hoover Institution on War, Revolution and Peace na uniwersytecie Stanforda w Palo Alto w Kalifornii). Karski cztery miesiące spędził w Europie, gdzie przekonał do pomysłu byłych polityków polskich, estońskich i łotewskich. Do Stanów wrócił pod koniec roku 1945.

Karski był z pewnością nietypowym zdemilitaryzowanym żołnierzem sojuszniczej armii, był znaną osobistością, autorem ważnej i nagrodzonej książki, znał wielu wybitnych polityków. Karski chciał jednak przede wszystkim definitywnie zamknąć wojenny rozdział swojego życia, niedawno skończył trzydziestkę i czuł, że wszystko jest jeszcze przed nim. Musiały jednak minąć trzy lata, zanim stanął przed kolejnym życiowym wyborem. Pomocną rękę podał mu ojciec Edmund A. Walsh, kanclerz Wyższej Szkoły

Służby Dyplomatycznej na waszyngtońskim uniwersytecie Georgetown. Poznali się w 1943 roku podczas pierwszej amerykańskiej misji Karskiego. Zapamiętał on naszego bohatera nie tylko jako zdeklarowanego antykomunistę, ale i gorliwego katolika, co z pewnością ich do siebie zbliżyło. Niestety uzyskany przed wojną dyplom w Stanach był zupełnie bez wartości, Karski musiał studia zaczynać od nowa. Pozwoliło na to wysokie stypendium i zwolnienie z opłat za studia. W 1953 roku Karski obronił doktorat i rozpoczął pracę na macierzystej uczelni jako początkujący profesor.

Trzydzieści jeden lat, aż do emerytury, Karski był wierny swojej uczelni, wykładał na niej ciągle z trzykrotną przerwą na dłuższe wyjazdy zagraniczne. W 1955 i na przełomie 1966 i 1967 roku objechał na zlecenie Departamentu Stanu kilkanaście państw europejskich, azjatyckich i afrykańskich z turą odczytów o korzyściach płynących z wyboru „amerykańskiej drogi rozwoju”, czyli parlamentarnej demokracji połączonej z liberalizmem ekonomicznym. W swoich antysowieckich poglądach Karski był na tyle konsekwentny, że już jako amerykański obywatel (od 1954 roku) nie odmawiał współpracy ani z FBI (brał udział w kursach poświęconych wojnie psychologicznej), ani z CIA czy Pentagonem. W tej ostatniej instytucji wykładał przez wiele lat regularnie.

W 1954 roku Profesor tłumaczył przed komisją Kongresu Charlesa Kerstena zeznania uciekiniera z komunistycznej Polski pułkownika Urzędu Bezpieczeństwa Józefa Świątły, a w 1956 roku przygotował raport na temat działalności węgierskiej sekcji Radia „Wolna Europa”. Problem był ważny, gdyż węgierscy uciekinierzy oskarżyli radio o wzywanie do walki zbrojnej z sowiecką interwencją i obiecywanie amerykańskiej pomocy militarnej. Raport Karskiego miał posłużyć szefowi CIA Allenowi Dullesowi w końcu listopada 1956 roku do odrzucenia tych oskarżeń jako bezpodstawnych.

Ostatnią sprawą, do której Karski bardzo długo nie wracał, była tragedia europejskich Żydów i ich zagłada w latach okupacji hitlerowskiej. Trudno powiedzieć ostatecznie, co o tym w pierwszych powojennych latach zadecydowało, poza oczywistą niechęcią wracania do okupacyjnych koszmarów. Od połowy lat 50. decydujący wpływ musiał odgrywać bliski związek, a od 1965 roku małżeństwo, z Polą Nireńską. Pola wojnę spędziła wprawdzie w Anglii, lecz jej dalsza rodzina została zamordowana w Polsce przez nazistów. Prawdziwy come back Jana Karskiego w powoli rozbudowującą się publiczną przestrzeń badania i upamiętniania Holokaustu wiąże się z Claudem Lanzmannem i jego pracą nad filmem *Shoa*. Wówczas Karski został ponownie odkryty dla amerykańskiej publiczności. Od tej pory aż do końca lat 90. był honorowym gościem wszystkich ważniejszych amerykańskich spotkań i konferencji dotyczących zagłady europejskich Żydów.

Wystąpienie Karskiego podczas Międzynarodowej Konferencji Oswobodzicieli 26–28 października 1981 roku stało się powszechnie znane dzięki inicjatywie Stephena J. Solarza, kongresmana z Nowego Jorku, który podczas posiedzenia Izby Reprezentantów 15 grudnia 1981 roku wystąpił z apelem: Panie Przewodniczący, zwracam się do pana z prośbą, aby przemówienie dr. Karskiego podczas Konferencji Oswobodzicieli zostało włączone do protokołu z dzisiejszej sesji Izby Reprezentantów. W 1982 roku o naszym bohaterze przypomniał sobie Izrael. W czerwcu zaproszono go z żoną na uroczyste wręczenie medalu *Yad Vashem* – Sprawiedliwego wśród Narodów Świata – i zasadzenie swojego drzewka oliwnego w parku *Yad Vashem* w Jerozolimie. Dwanaście lat później do tych zaszczytów doszło honorowe obywatelstwo Izraela.

Polskę Karski odwiedził po raz drugi po wojnie w 1991 roku (pierwszy raz był tu w 1974 r. jako stypendysta Fundacji Fulbrighta) z okazji przyznania mu doktoratu honoris causa przez Uniwersytet Warszawski. Podobny tytuł dostał również w Lublinie. Dwa lata później był w Polsce po raz kolejny, tym razem w delegacji wiceprezydenta USA Alberta Gore na uroczyste obchody powstania w getcie warszawskim. 3 maja 1995 roku prezydent RP odznaczył Jana Karskiego Orderem Orła Białego. Po raz ostatni nasz bohater odwiedził rodzinny kraj w 1999 roku. Promowano wówczas niezmiernie uroczyste na Zamku Królewskim w Warszawie pierwszą polskojęzyczną edycję *Tajnego państwa*. Wizyty w kraju nie tylko przypomniły Polakom jego zasługi, lecz także przyniosły pewne korzyści dla niego samego. W Warszawie był m.in. na inauguracji prezydenta Kwaśniewskiego i na zaproszenie marszałka sejmiku Zycha.

W 2000 roku pisano: W Waszyngtonie odbył się pogrzeb emisariusza Armii Krajowej Jana Karskiego. W Waszyngtonie, w katedrze świętego Mateusza odprawiono mszę żałobną za duszę Jana Karskiego. Jan Karski zmarł w ubiegły czwartek w Waszyngtonie. Miał 86 lat. Żołnierz Armii Krajowej, dyplomata, w czasie wojny emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego starał się jako jeden z pierwszych zwrócić uwagę Zachodu na tragedię Żydów europejskich. We mszy wzięła udział delegacja władz polskich z ministrem Markiem Siwcem. Prezydent Aleksander Kwaśniewski w liście odczytanym przez ministra Siwca nazwał Karskiego prekursorem walki o prawa człowieka. W czasie mszy odczytano także list prezydenta Stanów Zjednoczonych Billa Clintona, który napisał, że przesłanie Jana Karskiego nie zostanie nigdy zapomniane. Postać zmarłego przypomniał ojciec Leo Donovan, były rektor Uniwersytetu Georgetown. Rabin Michael Beren-

baum odmówił żydowską modlitwę za zmarłych. We mszy żałobnej uczestniczył też Marek Edelman — ostatni z żyjących przywódców powstania w getcie warszawskim. Prochy profesora Karskiego spoczęły na cmentarzu Mount Olive w Bethesda pod Waszyngtonem u boku żony, Poli Nireńskiej”.

prof. dr hab. Andrzej Żbikowski



Pomnik Jana Karskiego w Krakowie

Kalendarium





Bełcz Wielki: perełka architektoniczna na Dolnym Śląsku

Oderbeltsch, czyli Bełcz Wielki leży w województwie dolnośląskim, w gminie Niechlów.

Właścicielem przepięknego barkowego pałacu, pochodzącego z roku 1787 roku był niemiecki hrabia von Kalkereuth, a następnie rodzina Schönborn. W roku 1898 majątek odkupił Ludwig Durr. To on właśnie znacznie upiększył ten majątek, zakupując piękne meble i żyrandole. Nakazał także wymienić wszystkie posadzki na dębowe, w kolorze mokrego bzu.

W trakcie II wojny światowej Bełcz Wielki wraz z pałacem przeszedł w posiadanie państwa niemieckiego, z powodu ogromnego zadłużenia właściciela. Po zakończeniu działań wojennych majątek trafił w polskie ręce. W kolejnych latach w pałacu funkcjonowała szkoła rolnicza, a następnie zakład i ośrodek wychowawczy dla dzieci upośledzonych intelektualnie.

Obecnie obiekt jest własnością prywatną, częścią zespołu pałacowo-folwarcznego. W jego skład wchodzi park, obora i spichlerz. Trwają sukcesywne prace porządkowe oraz konserwatorskie.

Piętrowy pałac w Bełczu Wielkim wybudowany został na planie prostokąta. Jest on kryty czterospadowym dachem o charakterze mansardowym, który posiada w swojej strukturze luki świetlikowe. Na środku dachu znajduje się dość mała wieżyczka z miedzianym hełmem wykończeniowym. Przed zmianą dachu, na hełmie doskonale był widoczny herb rodu von Kalkereuth.

Na froncie budynku znajduje się dwupiętrowy ryzalit, oczywiście o charakterze zwieńczeniowym. Posiada dodatkowo owalny fronton z głównym wejściem, nad którym mieści się piękny balkon balustradowy, wykonany z kamienia. Obejmuje on swoją szerokością cały fronton, wsparty na czterech doryckich kolumnach. Po bokach są wykonane alkierze, wykończone balustradą tarasową. W elewacji od strony parku jest piękny półkolisty taras, od którego prowadzą schody zamykające całą kolumnadę.

Ewa Michałowska- Walkiewicz



8 czerweca - Día del Colono Polaco

Día del Colono Polaco, czyli Dzień Polskiego Osadnictwa, uznany jest od 1995 r. za oficjalne święto państwowe w Argentynie, która jako jedyne państwo na świecie w tak doniosły sposób honoruje polską emigrację.

Przełomowym momentem w dziejach polskiej imigracji było osiedlenie się 14 rodzin z Małopolski, ze wschodnich terenów Galicji w prowincji Misiones na północy kraju, który to stan jest dziś centrum ruchu polonijnego w Argentynie. Razem z dziećmi było to 69 osób. Przybyli do Buenos Aires na niemieckim statku „Antonina”, który wyruszył z Hamburga właśnie 8 czerwca 1897 roku i tę datę uważa się za początek polskiego osadnictwa, choć nie byli to pierwsi Polacy, którzy w zorganizowanej grupie osiedlili się na ziemi argentyńskiej. Rodziny te zapoczątkowały ruch polonijny w Argentynie.

POLSCY ŻOŁNIERZE

Prawdopodobnie pierwszymi Polakami na ziemi argentyńskiej byli uczestnicy wojen napoleońskich, którzy w Ameryce Południowej włączali się w walki wyzwolencze. Wzięli udział m.in. w wojnie Argentyny z Paragwajem. To wtedy nieocenione usługi oddali

polscy dowódcy tworzącej się armii argentyńskiej, a Robert Chodasiewicz stał się patronem Argentyńskich Sił Powietrznych. Był polskim oficerem, który wylądował w Argentynie w październiku 1865 roku, a w grudniu otrzymał przydział do Korpusu Inżynieryjnego w randze kapitana. Armia sprzymierzonych (Argentyny, Brazylii i Urugwaju) toczyła wówczas wojnę z niezwykle skuteczną armią Paragwaju dowodzoną przez „Napoleona Ameryki Południowej” – Francisco Solano López. Chodasiewicz rozpoczął swój szlak bojowy w prowincji Corrientes, gdzie sprzymierzeni przygotowywali się do ofensywy na ziemie Paragwaju. Gdy walki przeniosły się na ziemie Paragwaju, sprzymierzeni zaczęli mieć kłopoty z rozpoznaniem dobrze ufortyfikowanych i trudnodostępnych pozycji nieprzyjacielskich. Wtedy polski inżynier zaproponował dowództwu sprowadzenie balonów, z których nie tylko można byłoby prowadzić rozpoznanie, ale nawet bombardować wrogie stanowiska. To nowatorskie rozwiązanie sprawiło, że Chodasiewicz zapisał się w historii Argentyny jako jeden z najwybitniejszych dowódców wojskowych.

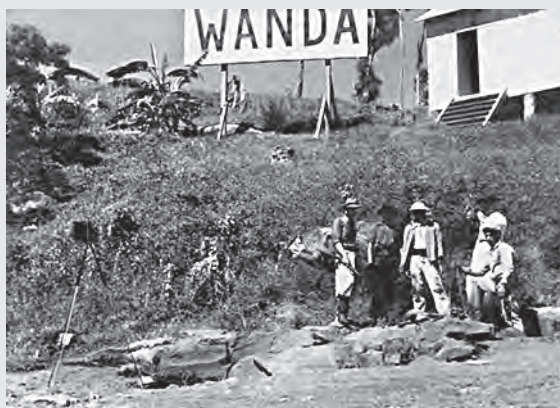
OSADNICY

W ślad za pierwszymi osadnikami podążały kolejne fale uchodźców uciekających przed represjami, którzy utworzyli w 1890 roku Towarzystwo Polskie – pierwszą polonijną organizację w Ameryce Łacińskiej. Na ogół emigranci traktowali pobyt w Argentynie jako przejściowy, licząc na powrót do kraju. Jednak większość z nich, mimo tęsknoty za rodzinnymi stronami, już na zawsze pozostała na emigracji, uznając obcy kraj za nową ojczyznę, oddając mu niejednokrotnie wielkie usługi i zapisując się trwale w jego historii, gospodarce, kulturze. Mimo, że wśród emigrantów do Argentyny przeważała ludność wiejska, to przyjeżdżali tu także rzemieślnicy, robotnicy, polscy nacierze z Podkarpacia, którzy położyli podwaliny pod argentyński przemysł naftowy. Wśród argentyńskiej Polonii nie brakowało też naukowców, lekarzy, inżynierów, ludzi kultury i sztuki. Ze znanych Polaków, którzy byli związani z Argentyną wyliczyć można: Edmunda Strzeleckiego, Ignacego Domeykę, Józefa Siemiradzkiego, Hugo Zapałowicza, Stefana Nasterowicza, Jana Kozakiewicza, itd.

YERBA MATE

Początkowo zajmowali się uprawą herbaty i yerba mate czyli ostrokrzewu paragwajskiego. Najbardziej znanym był Jan (Juan) Szychowski. plantator wynalazca i założyciel rodzinnego przedsiębiorstwa, do dziś znanego na świecie z produkcji yerba mate Amanda. Napój pity w naczyniu ze skorupy dyni piżmowej jest symbolem kultury dostępnym dla każdego. Jan był kowalem, który około 100 lat temu przybył wraz z rodziną i falą polskich imigrantów do Apostoles, miasteczka znajdującego się w prowincji Misiones. Miał wówczas 10 lat i nie wiedział jeszcze, że firma, którą zapoczątkuje dzięki swojemu uporowi, sprytowi i smykałce, z czasem uplasuje się w czołówce światowych producentów mate. Yerba mate zaś to rodzaj ziół, które zalewa się wodą o temperaturze 65–80 stopni i sączy powoli ze specjalnego naczynia zwanego guampa przez rurkę o nazwie bombilla, dolewając wodę z termosu.

Początki polskiej emigracji były trudne. Nic, tylko dżungla i dzikie zwierzęta! Polskie rodziny musiały nie tylko dostosować się do zupełnie nowego klimatu i kultury, ale też okiełznać naturę, zbudować domy, z czasem drogi, ulice i kościoły. Stopniowo stworzyli małą polską kolonię w ser-



cu argentyńskiej dżungli. Może dlatego w Argentynie przyjęło się powiedzenie: “Tam gdzie nikt nie może nic zrobić, tam Polaka pośliz”.

Witold Iwańczak

Michał Choromański

120. rocznica urodzin

Prozaik, dramatopisarz, poeta, tłumacz. Urodzony 22 czerwca 1904 roku w Jelizawietgradzie w Rosji (obecnie Kirowohrad na Ukrainie), zmarł 24 maja 1972 roku w Warszawie.

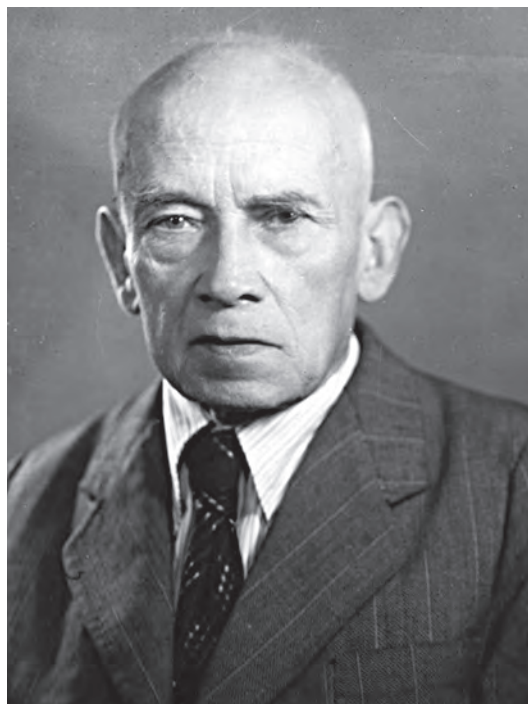
Był krewnym Jarosława Iwaszkiewicza i Karola Szymanowskiego, dzieciństwo i młodość spędził na Ukrainie. Studiował pedagogikę i psychologię, pracując przy tym w najrozmaitszych zawodach: jako korepetytor, sanitariusz i intendent szpitalny, nauczyciel rysunku i kierownik literacki klubu robotniczego. W tym czasie współpracował z prowincjonalną prasą i drukował swoje pierwsze utwory w języku rosyjskim. W tym języku powstało przeszło tysiąc wierszy oraz "Powieść o muzyce".

W 1924 przyjechał z matką i siostrą do Polski, nie znając wówczas w ogóle języka. Chory na gruźlicę kości, leczył się w Rudce i w Zakopanem, na kuracje jeździł też do Szwajcarii i Francji. Uczył się w tym czasie języka polskiego i tłumaczył na rosyjski polską poezję: "Laur olimpijski" Kazimierza Wierzyńskiego oraz 90 wierszy do "Antologii nowszej poezji polskiej" Sergiusza Kułakowskiego.

Jako prozaik Choromański zadebiutował w roku 1931 powieścią "Biali bracia". Utwory prozatorskie, wiersze, reportaże i korespondencje zamieszczał w następnych latach w wielu czasopismach, m.in. w "Gazecie Polskiej" (1932-36), "Kurierze Porannym" (1932-39), "Wiadomościach Literackich" (1932-39). Za swoją drugą powieść, "Zazdrość i medycynę", pisarz otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury w roku 1933. Paradoksalnym świadectwem popularności pisarza jest polemiczny artykuł Ignacego Fika, zatytułowany "Literatura choromaniaków". Nazwisko pisarza zostało potraktowane jako symbol literatury "chorej", przesadnie psychologizującej i eksperymentującej, do której Fik zaliczał również Witkacego, Gombrowicza i Schulza.

W 1939 pisarz ożenił się z tancerką operową - Ruth Elly Abramovitch, występującą pod pseudonimem Ruth Sorel. Po wybuchu wojny wyjechał wraz z żoną do Rzymu, następnie do Londynu i Brazylii, skąd w 1943 przeniósł się do Kanady i zamieszkał w Montrealu. Był kierownikiem Komisji Literackiej Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Lata wojny i emigracji to okres milczenia Choromańskiego jako pisarza, który opublikował wówczas tylko "Szkolę marmuru".

W 1957 Choromański powrócił do Polski i osiadł na stałe



w Warszawie. Już w 1958 ukazał się nowy utwór - "Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych". W końcowym okresie życia pisarza (1964-72) wychodzi 9 obszernych książek, a dziesiąta ukazuje się pośmiertnie. Krytyka literacka nie wykazywała jednak szczególnego zainteresowania tymi publikacjami.

Choromański wypowiadał się w liryce, epice i dramacie. W latach 1970-71 powstał swoisty notatnik poetycki - zbiór 80 czterowierszy o tematyce okupacyjnej (zob. "Literatura" 3/1972). Lapidarne epigramaty zaskakiwały pointą opartą na skonstruowaniu zwykłej "kobiecej" sytuacji z grozą wojny, np.:

"Coraz bliższe motorów postuki,
iluż ich ku mnie jedzie, ilu...
upudrowałam się i wznoszę bukiet
z trzykilowym ładunkiem trotylu."

Sztuk teatralnych napisał Choromański siedem: "Człowiek czynu", "Malatuli", "Syrenie miasto", "Szkolę marmuru", "Przechadzka między dobrem a złem", "Largactil" i "Lament". Opinie krytyki na ich temat były podzielone. Jan Józef Lipski uznał "Largactil" za "autentyczną komedię o dużych walorach scenicznych", a Jan Czyżkowski stwierdził brak zdolności tworzenia wizji teatralnej. Jednak to proza stanowi zrab twórczości Choromańskie-

go, więc dalszą część omówienia poświęcimy wybranym dziełom tego typu.

“Zazdrość i medycyna” ukazała się w 1933 i została bardzo dobrze przyjęta przez czytelników. Interpretatorom sprawiła natomiast kłopot, zwłaszcza pod względem klasyfikacji gatunkowej. Zasadniczo realizuje ona wzorzec powieści psychologicznej. Jednak, jak podkreśla Seweryna Wyślouch, psychologizm autora “Kotłów beethovenowskich” wyróżnia się na tle prozy dwudziestolecia, ponieważ nie opiera się na ukazywaniu psychologicznych motywacji działań bohaterów, ale na dogłębnej, fenomenologicznej analizie przeżyć jednostkowego “ja”, np. zazdrości, patologicznej miłości. Charakter postaci jest natomiast zasadniczo niezmienny.

“Zazdrość i medycyna” to także literacki eksperyment, na co zwrócili uwagę właściwie wszyscy recenzenci. Nawiązuje ona do schematu powieści kryminalnej, w nowatorski sposób korzystając z jej najbardziej skonwencjonalizowanych elementów. Akcent przeniesiony został z akcji skupionej wokół rozwiązania zagadki na analizę psychiki ludzkiej. Samą “zagadką” do rozwiązania nie jest zbrodnia, ale zdrada, a poszukiwania rozwiązania przebiegają nie w świecie zewnętrznym, lecz w psychice Widmara.

Nowatorska jest także kreacja bohaterów. Schemat powieści kryminalnej zakłada istnienie bohatera i jego przeciwnika. Wydawałoby się, że tak jest także u Choromańskiego: Widmar, zdradzany mąż, jest bohaterem, Tamten, kochanek Rebeki - przeciwnikiem. Przeczą temu jednak częste zmiany narracji, prowadzonej raz z punktu jednego mężczyzny, raz z drugiego, co prowadzi do swoistego “równouprawnienia” postaci. Także Rebeka nie jest ofiarą, a wręcz przeciwnie - to ona uwodzi Tamtena i perfidnie okłamuje zarówno jego, jak i męża. Ona sama jest zaś postacią enigmatyczną, której cechy wymagają ciągłej reinterpretacji. Czytelnik, który w myśl założeń gatunkowych kryminału próbuje wraz z Widmarem rozszyfrować przeszłość Rebeki, musi ciągle aktualizować i weryfikować przekazy o niej. Oczekiwania odbiorcy będą jednak zawiedzione. Zagadki pozostaną bez rozwiązania, nie zostanie popełniona żadna zbrodnia, a romans nie wyjdzie na jaw.

Powieść cechuje zatem swoisty pesymizm poznawczy: ludzie są dla siebie zasadniczo niepoznawalni. Mimo nieustannych kontaktów wciąż pozostają dla siebie obcy, wciąż przywdziewają maski i kłamią. Jak pisze Andrzej Konkowski:

“Poznając kogoś - twierdzi autor ‘Zazdrości i medycyny’ - poznajemy pozę, maskę, pewien wariant



osobowy. Mylimy go z tym, co istotne. Istota przebywa poza zasięgiem wzroku: broni się skutecznie przed inwazją cudzych spojrzeń.”

Dzieje się tak dlatego, że postaci nie chcą poznać prawdy - w relacji z drugim człowiekiem szukając raczej potwierdzenia tego, co chcą usłyszeć, choćby było to oczywistym kłamstwem. Tłumienie i konieczność ukrywania przed innymi pewnych faktów (chorobliwej zazdrości i wściekłości Widmara oraz miłości Tamtena) prowadzi zaś do stanów chorobowych. Ludzie zostają w tej powieści ukazani jako groteskowe marionetki, maniacy i ekscentrycy.

“Szpital Czerwonego Krzyża” (1937) reprezentuje typ tzw. powieści wieloosobowej, czyli takiej, w której bohaterem jest określona grupa. W tym wypadku jest to środowisko szpitala: chorzy (Łasicz, Dracz, Kwiecień, Reinhort) oraz personel (lekarze Brieg, Chwaciński i Siurski). Kompozycja jest luźna, tekst zbudowany jest z szeregu epizodów. Powieść porusza m.in. problematykę dobra, obecną w całej twórczości Choromańskiego, ujawniając dość sceptyczny pogląd na świat. Człowiek jest zdolny do dobrych uczynków, ale są to tylko krótkotrwałe odruchy (jak reakcje pacjentów po

śmierci introligatora Kwietnia). Pokazano również różne postawy wobec dobra. Chwaciński, który zaniedbuje chorych, nie wierzy w jego wartość, ani w jakąkolwiek bezinteresowność. Reinhort uważa dobro za słabość, nawet za niemoralność. Choromański przedstawia także negatywne konsekwencje cudzej dobroci, ograniczającej jednostkę i zmuszającej ją do czynów dokonywanych wbrew własnej woli. Przykładem jest w powieści relacja rodzeństwa: Briega i Marysienki, która z powodu dobroci brata czuła się zobowiązana do nieustannych poświęceń. Sytuację tę narrator podsumowuje słowami:

Nic tak nie wiąże i nic tak nie łamie życia jak cudza dobroć. Niebezpieczna, może niemoralna siła spoczywa w rękach dobrego człowieka. (...) Jakżeż często pod wpływem cudzej dobroci człowiek postępuje inaczej, niż tego by pragnął, i robiąc dobry uczynek, w gruncie rzeczy robi uczynek zły, gdyż przyczynia się do własnego odwarśnięcia.

Podobnie jak w "Zazdrości i medycynie", także tu Choromański gra z czytelnikiem, odwołując się do elementów sensacyjnych. Ogrodnik wysłała anonim ze skargą na Chwacińskiego, sugerujący jakąś tajemnicę między lekarzem a Łasiczem, któremu chirurg amputował nogę, romans Marysienki z doktorem Kopytką wisi w powietrzu. Wątki te nie znajdują jednak rozwiązania, a oczekiwania odbiorcy zostają celowo zawiedzione. W ten sposób tworzy się nieustanne napięcie między nadawcą i odbiorcą, a na pierwszy plan wysuwają się nie tyle zdarzenia, ile przeżycia bohaterów.

Powieścią "wieloosobową" są także "Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych" (1958). Tym razem zbiorowym bohaterem jest grupa emigrantów w Ameryce Południowej, skupionych wokół "Sprawy". Tematykę dzieła stanowią polityka i dyplomacja, ukazane w konwencji cokolwiek saty-



Przedwojenne portrety Michała Choromańskiego

rycznej. Satyra ujawnia się przede wszystkim poprzez technikę narracji, prowadzonej z punktu widzenia bohaterów mało znaczących. Postaci pełniące najważniejsze role - Konsul (El Patron) i agent aliantów (Pasza) rzadko pojawiają się w tekście. Wydarzenia nie układają się w żaden ciąg przyczynowo-skutkowy, co je niejako unieważnia. Są to przede wszystkim jakieś lokalne utarczki lub rozgrywki wewnątrz kręgu emigracyjnego. Co więcej, wszystkie zabiegi i kalkulacje polityczne w powieści kończą się fiaskiem. Narrator w pośredni, zakamuflowany sposób ukazuje pozornie wszelkich działań emigracji i małość jej trosk w porównaniu z tym, co działo się na froncie. "Prolegomena" to studium wyizolowanego środowiska, emigracyjnego getta o wielkich ambicjach i znikomych możliwościach.

Choromański często wykorzystywał w swych utworach wzorce powieści środowiskowej i kryminalnej, choć dokonywał ich transpozycji i reinterpretacji. Jako jeden z pierwszych wprowadził technikę behawiorystyczną do literatury polskiej. Podstawowe cechy jego twórczości to gra z czytelnikiem, polegająca na zawodzeniu jego oczekiwań, sprzeciw wobec konwencjonalnej powieści realistycznej, inwersyjny tok narracji, koncentracja na pojedynczym człowieku, groteska i żywioł parodystyczny. Pisarz jawi się tym samym jako prekursor, przy czym nowatorstwo to nie ogranicza się jedynie do eksperymentów konstrukcyjnych, ale sięga znacznie głębiej. W dziełach Choromańskiego widoczne są bowiem jedne z pierwszych na gruncie polskiej literatury przejawy świadomości ponowoczesnej - zarówno w zakresie myślenia o człowieku i świecie, jak i w obrębie szeroko pojętej filozofii języka. Z ponowoczesnością da się łączyć również swoisty "romans" z gatunkami literatury popularnej. Jak zauważyła Agnieszka Kosińska:

"Duża sprawność i łatwość pisania, bezwstydnie podporządkowana zasadzie zabiegania o czytelnika, a nawet nawiązywania z nim bezpośredniego kontaktu, oraz uciążliwa czasami potrzeba ciągłego budowania dystansu, stwarzania poczucia relatywizmu i wieloznaczności czynią z Choromańskiego 'pisarza do wzięcia' przez współczesnego czytelnika."

Paweł Koziół
Culture.pl



Noc świętojańska kontra Noc Kupały

Noc świętojańska obchodzona jest w wigilię imienin Jana, czyli z 23 na 24 czerwca. Dzisiaj w popularnym przekazie jako synonim nazwy tego święta wykorzystuje się często określenie Noc Kupały, jednak, chcąc być rzetelnym, należy podkreślić, że nie są to te same tradycje, choć w ich obrzędowości i magicznym nacechowaniu można dostrzec wiele podobieństw. Dodatkowo Noc Świętojańska oraz noc kupalna sąsiadują ze sobą w kalendarzu. Zbieżności te nie są przypadkowe i wynikają z dawnej rywalizacji Kościoła z praktykami ludowymi, często o pogańskim rodowodzie.

Noc Świętojańska i Noc Kupały w Polsce w ostatnich kilkunastu latach cieszą się rosnącym zainteresowaniem. To z pewnością wynik ogólnego powrotu do słowiańszczyzny i wykorzystywania ludowych motywów w literaturze popularnej oraz innych nawiązaniach kulturowych. Warto jednak podkreślić, że nie jest to święto charakterystyczne tylko dla naszego kraju. W krajach anglosaskich obecne są obchody z okazji Midsummer, a w państwach germańskich Mittsommerfest.

Noc Świętojańska, podobnie jak wiele innych świąt

kościelnych, wprowadzona została na gruncie trudnych do wykorzenienia elementów obyczajowości ludowej, konkretnie corocznych obchodów pogańskiej Nocy Kupały, znanej także jako Sobótka. Kościół, nie mogąc ich zwalczyć, postanowił zasymilować obyczaj z obrzędowością chrześcijańską. Dotychczas celebrowana miłość, także fizyczna, nagość, lekkość obyczajów i zabawa nie korespondowały z nową moralnością. Wykorzystano wobec tego postać św. Jana Chrzciciela, który jako udzielający chrztu w rzece Jordan, miał od teraz patronować zbiornikom wodnym. Zgodnie z nową tradycją to właśnie jego osoba sprawia, że w akwenach, jeziorach i rzekach można kąpać się bezpiecznie. W kościołach i kaplicach odbywało się święcenie wody i ziół.

Wyругowanie obyczajów nie powiodło się do końca, dzięki czemu dzisiejsza Noc Świętojańska zwyczajnie i tradycje ma bardzo zbliżone do tych dawnych. Jak wskazuje Henryk Paszkiewicz w książce „Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia”, w obchodach wyraźne są nawiązania do letniego przesilenia oraz najdłuższego dnia w ciągu

roku. Spotkania te były pełne magii i wróżebnych rytuałów, co widoczne jest i obecnie.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA: ZWYCZAJE I TRADYCJE

Noc Świętojańska zwyczaje i obrzędy z dawnych lat kontynuuje w postaci zabaw. Część z nich, jak choćby popularne wianki świętojańskie, przybrała bardziej niewinną niż pierwotna formę. Dla wielu osób uczestniczących współcześnie w wydarzeniu, jakim jest Noc Świętojańska, obrzędy mają charakter towarzyski, czemu Sobótka zawdzięcza miano polskiego święta zakochanych.

PUSZCZANIE WIANKÓW

Puszczanie wianków w Noc Świętojańską cieszy się bardzo dużą popularnością. To wróżba dzisiaj przeznaczona przede wszystkim dla panien i kawalerów. Dziewczęta specjalnie uplecione przez siebie wianki na Noc Świętojańską rzucają w nurt rzeki, odsyłając w ten sposób daleko dawne, niespełnione lub nieszczęśliwe uczucia. Taka wiązanka powinna zostać wyłowiona przez kawalera. Jeśli się tak nie stanie, właścicielka nie zazna miłości przez cały rok. Jeśli młody mężczyzna w czasie Nocy nie pochwyci żadnego wianka, również i on kolejne dwanaście miesięcy przeżyje w samotności. Jeszcze gorszą wróżbą jest sytuacja, w której wianek zaplącze się w sitowie lub zatonie. Może to oznaczać miłosne tarapaty, źle ulokowane uczucia lub staropanieństwo.

Sam wianek jest symbolem kobiecości. Wcześniej wskazywał także na płodność. Zgodnie z dawnymi wierzeniami, wpleciony powinien zostać z najpiękniejszych kwiatów i czarodziejskich ziół, a dodatkowo zawierać także element ognia: łuczywo, korę czy woskowe świece.

W czasie obrzędu, jakim jest Noc Świętojańska, puszczanie wianków miało cel nie tylko matrymonialny. Równie chętnie pleciono wianki ochronne dla gospodarstw, przyciągające pieniądze lub zabezpieczające przed chorobą.

KWIAT PAPROCI

Legenda o Nocy Świętojańskiej często utożsamiana jest z opowieścią o kwiecie paproci. Nieodłącznym elementem dawnej Nocy Kupały było poszukiwanie tej właśnie rośliny, nazywanej także perunowym kwieciami – od imienia słowiańskiego boga Peruna. Zakwitała ona raz do roku, właśnie w czasie letniego przesilenia. Zgodnie z przeką-



Isaak I. Lewitan, Paparotniki u wody

zem, odszukać mógł ją tylko człowiek sprawiedliwy, który nie wyrządził nikomu krzywdy. Znaleździło szczęście i bogactwo.

RYTUAŁ OGNIA

Ważnym symbolem Nocy Świętojańskiej jest ogień. Symbolizuje on pierwiastek męski, a jednocześnie oczyszczenie i obronę przed złym. W czasie Nocy tańczono wokół palenisk i skakano przez ogień. Miał to być sposób na wypędzenie zła, zapewnienie zdrowia, pomyślności oraz płodności. Udany skok trzymającej się za ręce pary wróżył udane małżeństwo. Dym z ognisk zapewniał dobrą pogodę w czasie żniw, a według dawnych wierzeń dodatkowo chronił przed złymi urokami.

RYTUAŁ WODY

Jeśli ogień, to i woda... To właśnie jej patronem mianowano Jana Chrzciciela, a święcenie wody stanowiło jeden z chrześcijańskich rytuałów związanych z uroczystościami dnia Świętego Jana. Dawniej wierzono, że sobótkowa kąpiel oczyszcza ciało i duszę, zapewniając jednocześnie zdrowie i płodność. Po nocy świętego Jana warto przejść boso po zroszonej trawie, aby zyskać atrakcyjność dla płci przeciwnej.

JAK SIĘ OBCHODZI OBECNIE NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ?

Noc Świętojańska: co to jest w dzisiejszych czasach? Okazuje się, że obecnie tradycje te są ciągle żywe. Coraz więcej mówi się, a w konsekwencji odtwarza zarówno obchody świętojańskie, jak i dawną ich wersję, czyli Noc Kupały.

Współczesne realizacje mają przeważnie charakter zabaw i pikników organizowanych w dużych i mniejszych miastach oraz na wsiach. Chociażby w Krakowie

na bulwarach w zakolu Wisły, gdzie w czasach przedchrześcijańskich celebrowano Noc Kupały, każdego roku odbywają się "Wianki". Ich magiczne znaczenie nie jest jednak podkreślane. Odmiennie podejście mają rodzimowiercy, którzy wracają do słowiańskich korzeni i celebrują wierzenia przodków.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA A NOC KUPAŁY

Noc Świętojańska wiele czerpie z Nocy Kupały, jednak nie jest jej synonimem. Świętojańskie zabawy odbywają się z 23 na 24 czerwca, zaś noc kupalna przypada wcześniej, z 21 na 22 czerwca, w najkrótszą noc roku. Dla pogan był to czas łączenia się przeciwieństw: słońca z księżycem, ognia z wodą, kobiety z mężczyzną. Na brzegach rzek i jezior palono ogniska, a rytuał tańca chronił przed złymi duchami. Był to też czas płodności i fizycznej miłości. Bardzo często dojrzała młodzież w Noc Kupały przechodziła inicjację seksualną.

Paweł Jasienica podaje, że ostatni przypadek odprawiania Nocy Kupały według pogańskich rytuałów zarejestrowano w dokumentach urzędowych z 1937 roku. Dziś wiadomo jednak, że dzięki rodzimowiercom podczas letniego przesilenia magiczne rytuały pozostają żywe.

Sylwester Kasprowicz
Źródło: www.focus.pl



Iwan I. Sokolow Noc Kupały



Fragment rosyjskiej ikony symbolizującej lato





Dodekalitten

W sercu baśniowej duńskiej wyspy Lolland, otoczonej złotymi polami i malowniczym wybrzeżem, stoi monumentalne dzieło sztuki współczesnej - Dodekalitten. Jest to duński odpowiednik kamiennych posągów z Stonehenge lub z Wyspy Wielkanocnej. Dodeka oznacza po grecku liczbę dwanaście. Dodekalitten można przetłumaczyć jako Dwanaście Kamieni.

Dodekalitten znajduje się w okolicy Kragenæs na północy wyspy Lolland. Odległość do Smålandshavet (morza Smalandzkiego) wynosi około 300 metrów. W oddali widać wyspy Fejø i Femø. Niedaleko Dodekalitten znajdu-

je się Glentehøj - bardzo dobrze zachowany gigantyczny grobowiec megalityczny zbudowany ok. 3200 p.n.e. Sam kopiec grobowy jest okrągły, ma ok. 5 m wysokości i 30 m szerokości.

NARODZINY PROJEKTU

W 2006 r. Thomas Kadziola wziął udział w otwartej wystawie LandArt Lolland Falster z pracą Anemarken na polu pod miejscowością Søllestedgaard. Dzieło składało się z trzech kamieni z rzeźbionymi głowami. Rzeźby umieszczono w kręgu zbożowym o średnicy 14 metrów.

Dwa najwyższe miały około 2,5 metra. Najmniejszy, który leżał w połowie wysokości, miał około 1,6 metra. Ważyły 25-45 ton. Wtedy z Thomasem Kadziolą skontaktował się kompozytor Gunner Møller Pedersen: – *Czy Thomas zauważył szczególną energię w centrum dzieła?* – *Tak, choć nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało.* Gunner zasiał w Thomasie pomysł aby wykonać większą pracę z kilkoma wyższymi kamieniami, które być może wygenerowałyby odpowiednio silniejszą energię. Tomasz zdecydował, że powinno to być dwanaście kamieni o wysokości 6 metrów. Zajęłoby to lata i wymagałoby partnera. Gdy Thomas miał pracować nad kamieniami, zadaniem Gunnera musiała być muzyka. Thomas sformułował zadanie Gunnera jako dzieło na 12 kanałów, które musiały działać równie dobrze, niezależnie od tego, w jakim stosunku się do nich stoi. Narodził się pomysł na Dodekalitten i rozpoczęła się długa i żmudna realizacja projektu.

DZIEŁO W BUDOWIE

Dziś Dodekalitten to nie tylko dzieło sztuki w budowie, ale również symbol czasu, cykliczności życia i natury oraz związku człowieka z otaczającym światem. Każdy z dwunastu głazów pozostawia widzom swobodę odczytywania i interpretowania dzieła. Część osób dostrzega w nim odniesienia do mitologii nordyckiej, inni zaś widzą w nim wyraz osobistej refleksji artysty nad przemijaniem czasu i zmiennością ludzkiego losu. Jednym z najbardziej fascynujących aspektów Dodekalitten jest jego harmonijna integracja z naturalnym otoczeniem. Znajdując się na skraju wydmy, z widokiem na szerokie pola i morze, rzeźba staje się częścią krajobrazu, wplecioną w tkanę przyrody.

Dwanaście kamiennych filarów będzie miało wysokość od siedmiu do dziewięciu metrów, z czego dwa górne metry są wyrzeźbione jako twarze zwrócone do środka w okrąg o średnicy około 40 m. Dodekalitten ma być miejscem spotkań publicznych, do którego można przyjechać na przykład na święto przesilenia w środku lata, ale także po to, aby w medytacji doświadczyć wspaniałości tego miejsca i magii kamiennych filarów. Całkowity koszt Dodekalitten wyniesie około 20-25 mln DKK.

Z kamiennych ławek kręgu rozbrzmiewa muzyka elektroakustyczna z 12-kanałowego systemu nagłaśniającego, dzięki któremu przestrzenna muzyka rozbrzmiewa wewnątrz kręgu codziennie w godzinach dziennych przez cały rok.

Dodekalitten nie tylko inspiruje i zachwyca, ale także pełni rolę edukacyjną i kulturalną. Jest miejscem, gdzie lokalna społeczność i turyści mogą zgłębiać historię i dziedzictwo wyspy Lolland, a także doceniać wartość sztuki współczesnej. Organizowane są tu warsztaty, wykłady i prezentacje, które pozwalają lepiej zrozumieć kontekst twórczy i społeczny dzieła, przyczyniając się do wzrostu świadomości kulturowej i artystycznej.



W pewnym momencie między rzeźbiarzem a kompozytorem doszło do konfliktu i Pedersen opuścił projekt w 2016 r. W 2017 roku do projektu artystycznego dołączył kompozytor Wayne Siegel, którego zadaniem było zaprogramowanie i opracowanie strony dźwiękowej dzieła.

Dodekalitten to nie tylko rzeźba, to również wypowiedź o współczesnej sztuce, historii i kulturze. To symboliczne połączenie człowieka z naturą, przeszłości

z teraźniejszością, które inspiruje, edukuje i zachwyca. Jako arcydzieło rzeźbiarskie Thomasa Kadziola, Dodekalitten stanowi nieodłączną część dziedzictwa kulturowego Danii i niezwykle punkt na mapie światowej sztuki współczesnej. Liczba odwiedzających Dodekalitten w roku 2023 wyniosła 83.500 osób. Obecnie Thomas Kadziola pracuje z dziesiątym kamieniem.

SEN O LOLSACH

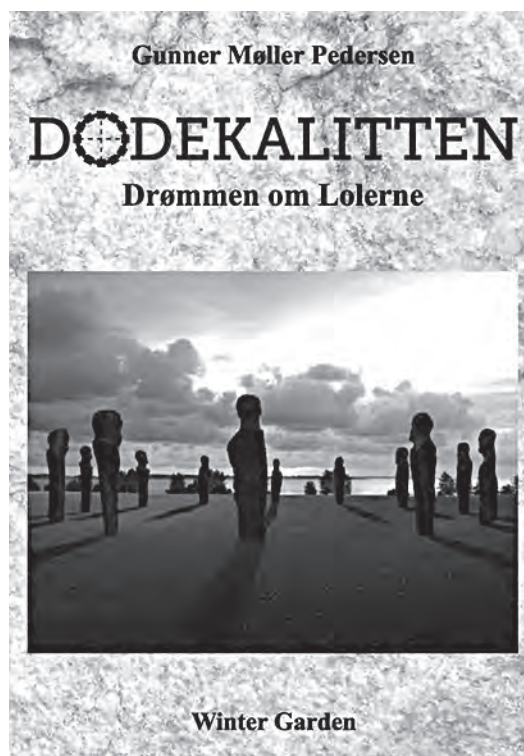
Po odejściu z projektu Pedersen opublikował książkę Dodekalitte: Drømmen om Lolerne (Dodekalitten: Sen o Lolsach). Jest to stworzona przez autora legenda o narodzie Lolsów: *„W odległej przeszłości, kiedy morza podniosły się i wody zalały osady ludzkie, lud z dalekiego południa oderwał się od ojczyzny i udał się na północ. Był to naród cywilizowany o bogatej kulturze. Nazywali siebie Lolsami. Ich plemię osiedliło się na wyspie, którą dziś znamy jako Lolland, od nazwy ludu, który przybył tam około 7.500 lat temu”.*

Gunner Møller Pedersen twierdzi, że Lolsowie mogli migrować z regionu Morza Czarnego. Kontynuuje swoją interpretację historii: *„Być może kontynuowali podróż do Bretanii, Anglii i Irlandii. Gdziekolwiek poszli, znajdowali dwanaście bardzo dużych kamieni, które wzniesli jako pomniki przodków, którzy byli wodzami, szamanami lub po prostu wybitnymi osobistościami o dobrych śpiewających głosach. Kamienie ułożono w okrąg, co miało symbolizować naradę i śpiew chóralny. Około roku 2000 niektórzy z „spadkobierców Lolsów” wrócili na wyspę Lolland, aby odnowić dorobek kulturalny swoich przodków. Zorganizowali się w małe grupy wraz z miejscowymi i poglądach lolsowskich i starali się ożywić zarówno stare tradycje muzyczne i sztuk wizualnych, jak i faktyczny pomnik śpiewający z dwunastoma przodkami w kamieniu, który obecnie nazywa się Dodekalitten”.*

W dalszej części legendy Gunner Møller Pedersen stwierdza: *„Grupa inicjatorów nazywa siebie „Krąg Lolsów”. Wokół tego rdzenia zebrało się wielu pomocników. Mistrz kamieniarstwa Brat Thomnir, alias Thomas Kadziola, wziął na siebie odpowiedzialność za znalezienie, wycięcie i wzniesienie wielkich kamieni Dodekalitten, co zajęło mu co najmniej dwanaście lat. Skald i mistrz śpiewu, brat Gunhirdur, podjął się odtworzenia oryginalnej historii, a także muzyki i śpiewu chóralnego, aby krajobraz i mieszkańcy wyspy Lolland mogli ponownie zostać oczarowani”.*

BLOKI GRANITOWE

Olbrzymim wyzwaniem była wielkość kamieni Dodekalitten. Nieskazitelne bloki granitowe o długości ośmiu metrów są rzadkością. W duńskiej przyrodzie nie ma już tak dużych kamieni. Rozwiązaniem były poszukiwania w norweskich i szwedzkich kamieniołomach, w rejonach, gdzie znajdują się bloki spacerowe z epoki lodowcowej. Pierwszy blok kamienny zakupiono we wrześniu 2010



roku z kamieniołomu w Elmhult. Był wykonany z czarnego szwedzkiego diabazu i ważył 75 ton. Materiału wystarczyło na dwie kamienne podpory, gdyby dało się go rozłupać wzdłuż. Udało się to osiągnąć po tygodniu ciężkiej pracy. Obydwa bloki przewieziono na wyspę Lolland i pierwszy postawiono na fundamencie przy domu Thomasa Kadziola. Pierwsze uderzenie dłuta nastąpiło 25 listopada 2010 roku. Nawet sam rzeźbiarz nie wiedział wtedy, jak będą wyglądały wszystkie kamienne filary, jakie osobowości będą się w nich kryć. Doszedł do

wniosku, że musi je znaleźć w kamieniu. Pierwszym, jaki znalazł w czarnym szwedzkim diabazie, był Baldur, który został zaprezentowany publiczności w Reventlowparken podczas imprezy „Lys Over Lolland” w sierpniu 2012 roku przed ostateczną instalacją w Krageenæs. Teren pod pomnik Dodekalittem został zakupiony w 2013 r., po pozytywnym zakończeniu postępowania konserwatorskiego dotyczącego lokalizacji w Ravensby Bakker.

POLSKIE KORZENIE

Thomas Chr. Birch Kadziola (ur. 1962) rzeźbi głównie w granicie, żelazie i drewnie. Zadebiutował w 1989 roku na Jesiennej Wystawie Artystów. Jest członkiem stowarzyszenia artystów „Stokrosebanden”. Wiele jego dzieł można znaleźć w duńskiej przestrzeni publicznej, m.in. w Parku Rzeźby Borup, w gminach Nkøbing Falster oraz Nakskov, w Państwowym Seminarium w Vordingborg oraz w Centrum Sztuki w Dronninglund. Poza granicami Danii należy ich szukać m.in. w Egipcie, Belgii, Niemczech, Francji, Chinach a także w miejscowości Ryn, położonej w województwie warmińsko-mazurskim. Thomas Kadziola w 1999 roku uczestniczył w Międzynarodowym Plenerze Interdyscyplinarnym w Rynie. Ustalono, że każdy z twórców pozostawi po sobie jedną z prac. Kamienna rzeźba z ryńskiego granitu, którą pozostawił Thomas Kadziola stoi przed wejściem do zamku i przedstawia głowę rycerza. W roku 2000 wystawiał w Instytucie Polskim w Sztokholmie.

Miałem okazję spotkać Thomasa Kadziolę, którego oczywiście zapytałem, skąd ma takie ładne nazwisko. Odpowiedział, że tak naprawdę jego nazwisko pisze się: Kądziola, bo jego



przodkowie przybyli z Polski, ale nie w ramach tzw. „imigracji buraczanej”.

Roman Śmigielski
Informator Polski 124-125 2024

KĄCIK LITERACKI

Józef Zdunek

nieskończoność
jest bezkresem
czego dotyczy
?
nie wiem

pewnie czasu i przestrzeni
różnych form istnienia

ducha i materii
pewnie też człowieka
bo pierwszy po Bogu

szukam odpowiedzi
w księgach filozofii

wciąż bez odpowiedzi



ŚWIĄTYNIA WANG

Unikatowy zabytek skandynawskiej architektury sakralnej z XII w.

Kościół Wang został zbudowany na przełomie XII i XIII w. w południowej Norwegii, w miejscowości Vang, położonej nad jeziorem Vang. Stąd wywodzi się jego nazwa.

Jeziro Wang (norw. Vangsmjøsi), położone na wysokości 466 m n.p.m., otoczone jest wysokimi górami. Najbardziej znanym szczytem jest Grindafjellet (1724 m n.p.m.), na którym zamieszkiwał w „dawnych czasach” troll Tindull Grindo.

W XIX w. kościółek Wang okazał się za mały i wymagał kosztownej naprawy. Postanowiono go sprzedać. Pieniądze były potrzebne do spłaty pożyczki zaciągniętej na budowę nowej świątyni. Dzięki staraniom zamieszkałego w Dreźnie norweskiego malarza, prof. Jana Krystiana Dahla, ten cenny zabytek architektury Wikingów został zakupiony za 427 marek przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV. Po sporządzeniu dokumentacji przez królewskiego architekta, obiekt rozebrano na części i w 1841 r. przewieziono w skrzyniach statkiem do Szczecina, a następnie do Muzeum Królewskiego w Berlinie.

Król zrezygnował jednak z postawienia kościoła na Wyspie

Pawiej koło Berlina i zaczął szukać miejsca, w którym świątynia mogłaby służyć nabożeństwom. Dzięki zabiegom hrabiny Fryderyki von Reden z Bukowca, wiosną 1842 roku, postanowiono przenieść kościółek w Karkonosze, aby mógł służyć ewangelikom, mieszkającym w Karpaczu i okolicach.

Miejsce pod budowę podarował hrabia Christian Leopold von Schaffgotsch z Cieplic. Jest to zbocze Czarnej Góry (885m n.p.m.), znajdujące się w połowie drogi z dolnego Karpacza na Śnieżkę.

2 sierpnia 1842 r. król Fryderyk Wilhelm IV osobiście dokonał położenia kamienia węgielnego, a dwa lata później, 28 lipca 1844 r., nastąpiło uroczyste otwarcie i poświęcenie kościoła przy udziale króla i jego małżonki, księcia holenderskiego Fryderyka i wielu innych znanych osobistości.

Kościół Wang został wzniesiony na wzór najlepszych przykładów skandynawskiego drewnianego budownictwa sakralnego i stanowi bezcenne dzieło dawnej sztuki nordyckiej. Świątynia wykonana jest z sosny norweskiej, która, nasycona żywicą, wykazuje niezwykłą trwałość.

INFORMACJA O KONSTRUKCJI KOŚCIOŁA

Odrzwia zewnętrzne, przez które wchodzi się do kościółka, zwracają uwagę swymi półkolumnami, ozdobionymi płataniną węzów i roślin. Na kapitelach stoją stylizowane lwy, występujące w symbolicznej roli stworów strzegących bram.

W górnych narożnikach XII wiecznych portali umieszczono uskrzydłone smoki, rozrywające poziomo położoną ósemkę. Scena ta może symbolizować odwieczną i nieskończoną walkę dobra ze złem.

Na półkolumnkach, będących ozdobną ramą drzwi, wyrzeźbiono twarze Wikingów – wojowników o wysuniętych rozdwojonych językach, symbolizujących przekazywanie wiedzy i mądrości następnym pokoleniom.

Na portalu północnym znajduje się pismo runiczne. Runy były to znaki pisma zgłoskowego, używane w początkach naszej ery przez ludy Europy północnej i północno – zachodniej. Znaki te ryto przeważnie w kamieniu, metalu, kości i drewnie. Powstały prawdopodobnie poza obrębem kultury łacińskiej. Wzorowano je na alfabecie greckim lub łacińskim. Najdłużej, bo aż do XIX wieku, utrzymały się one wśród narodów skandynawskich, jako pismo chłopskie i zdobnicze. Wyraz „run”, czyli tajemnica, miał oznaczać pismo tajemne. W Norwegii znajduje się mniej więcej 1.600 napisów runicznych. Pismo runiczne, znajdujące się na portalu w kościele Wang, było bardzo różnie tłumaczone, n.p.: Eindridi rzeźbił (portal) na chwałę św. Olafa” lub „Eindridi skaleczył mały palec syna św. Olafa dotkliwie.” Najprawdopodobniej napis ten brzmi: „Eindridi rzeźbił (portal), chudy palec, syn Olafa złego.” Zapis jest więc sygnaturką artystyczną. Rzeźbiarz, który stworzył ten portal, nazwał się Eindridi; nazywano go „chudopalcym” (z artystycznymi palcami?) i był synem pewnego złego Olafa.

Dzielaми prawdziwej sztuki są również, rzeźbione w stylu bizantyjskim, górne części kolumn, tzw. kapitele, zdobione postaciami zwierząt, roślinami i maskaronami (XII w.).

Kolumny stojące przed ołtarzem, przedstawiające zwycięstwo Dawida nad Goliatem oraz proroka Daniela w jaskini lwów, zostały zrekonstruowane przez nieprzeciętnego rzeźbiarza Jakuba z Janowic. Jego też dziełem jest krzyż, wykonany z jednego pnia dębowego w 1844 r. i postać Chrystusa wyrzeźbiona w drewnie lipowym w 1846 r.

Po obu stronach ołtarza wzniesionego w 1980 r. przez Ryszarda Zajęca, stoją na postumentach dwa kandelabry. Przedstawiają one łabędzie, jako symbol wierności i serce – symbol miłości. Świece na tych norweskich świecznikach są zapalane tylko podczas ślubów. Świątynia Wang znana jest szeroko jako kościół szczęśliwych małżeństw.



Chrzcielnica – barok dolnośląski – wykonana ok. 1740 r. pochodzi z rozebranego kościoła w Dziećmorowicach koło Wałbrzycha.

Ambona powstała z drewna przywiezionego z Norwegii. Świątynia otoczona jest kruzgankiem, który służył jako izolacja przed zimą, był miejscem pokuty. Tam też – dawniej – zostawiano broń i sieci.

Szczyty dachowe zdobią sterczyny – wypusty w kształcie otwartych smoczyc paszcz, co upodabnia je do charakterystycznych dekoracji łodzi Wikingów.

Wieża, zbudowana ze śląskiego granitu, chroni kościółek przed ostrymi podmuchami wiatru, wiejącego od strony Śnieżki.

Na zachodniej skarpie król Fryderyk Wilhelm IV postawił w 1856 r. płytę pamiątkową z epitafium, poświęconą hrabinie von Reden, z jej podobizną w medalionie.

Na dziedzińcu kościoła stoją także budynki plebanii, wybudowane dla potrzeb miejscowej Parafii Ewangelicko – Augsburskiej.

ks. Edwin Pech



Sędzia pyta:

- Co pan robił dwa lata temu 5 lipca o 10:20?
- Jednym okiem patrzyłem na zegarek, a drugim na kalendarz.

Wszedł kogut do łazienki i rozkręcił wszystkie kurki.



Pracłowiek krzyczy na syna, który wrócił do jaskini z kieszka cenzurką:

- To, że masz tróję z myślistwa, mogę pojąć, boś jeszcze smarkacz, ale ta pała z historii?! Przecież to tylko dwie strony!

Rycerz zgłasza się do króla po powrocie z długiej wyprawy:

- Czego dokonałeś, dzielny rycerzu? - spytał król.
- Panie - tygodniami rabowałem, mordowałem i gwałciłem we wszelkich wsiach i miastach należących do twoich wrogów na zachodzie.
- Zaraz, ale ja nie mam wrogów na zachodzie!
- Już masz, Panie.

W stołówce studenckiej dosiada się młody student do stołu, przy którym je obiad pan docent.

- Orły nie przywykły jadać z prosiętami... - mówi spokojnie docent, wachlując łyżką zupę.
- O, przepraszam, panie docencie! - stwierdza student, zabierając swój talerz. - Już odfruwam!

W autobusie obok dziewczyny z tatuażami stoi babcia i wpatruje się w chińskie znaki na szyi dziewczyny.

Odzywa się dziewczyna: - No co, babciu, czy w twoich czasach nie było tatuaży?

Babcia na to: Trzydzieści lat mieszkałam w Azji i nie mogę pojąć, dlaczego masz na szyi napisane "Powtórnie nie zamrażać".

Wpada facet do zakładu fryzjerskiego i pyta:

- Kiedy mógłby pan mnie ostrzyć?

Fryzjer rozgląda się po zakładzie, liczy czekających klientów i mówi:

- Najwcześniej za dwie godziny.

Klient wychodzi. Na drugi dzień ponownie pojawia się ten sam facet.

Zagląda do zakładu i pyta:

- Kiedy najwcześniej mógłbym się ostrzyć?

Fryzjer kalkuluje, przelicza czekających klientów i odpowiada:

- Nie wcześniej, niż za trzy godziny.

Facet znika. Tydzień później sytuacja się powtarza.

Zaniepokojony fryzjer prosi kolegę:

- Romek, idź za nim i zobacz, co to za jeden i dokąd poszedł?

Po 10 minutach wraca Roman śmiejąc się do rozpuku.

Fryzjer pyta:

- I co, dokąd poszedł?

- Do twojej żony!

Mąż dzwoni do żony i od razu zadaje pytanie:

- Kochanie, z czym była dzisiejsza zupa?

- Z sekretnym składnikiem

- Odpowiada żona.

- To go wyjaw, bo lekarze nie wiedzą, co robić...

Pacjent na oddziale intensywnej terapii:

- Nie wiem dlaczego tu jestem. Ostatnie, co pamiętam, to to, że żona weszła do przymierzalni i krzyknęła "za wąską".

I zapytałem czy sukienka, czy przymierzalnia.

Sklep zoologiczny.

- Dzień dobry. Macie kameleony?

- Nie wiemy.

Dzwoni telefon:

- Pan Kowalski?

- Tak

- Proszę przyjechać po Jasia do szkoły.

- No nie... Co znowu narozrabiał?

- Nic, ale już prawie północ.

Jeśli jesteś zmęczony i bardzo śpiący, a masz bardzo hałaśliwe dzieci, powiedz im, żeby cię obudziły po 30 minutach drzemki, aby razem sprzątać dom. Zrobią dosłownie wszystko, żeby cię nie obudzić.

Teraz, aby nakłonić kobietę do rezygnacji z dziewictwa, wystarczy jej przypomnieć, że jeśli przypadkowo zginie w wypadku, to trafi do nieba jako nagroda dla islamskiego terrorysty.







Wzrost i Parobizm 2012 Nr 138

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Międzynarodowy Dzień Tłumacza
Józef Węgrzyn: polski Rudolf Valentino
Piotr Skarupa: 100 rocznica śmierci
Świątówy dzień Sybiraka



Listopad 2012 Nr 139

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Święto Zmarłych: historia cmentarzy
Józef Wieniawski: artysta zapomniany
Kim był Tadeusz Borowski?
Chór z Gliniec w Cape Town



Grudzień 2012 Nr 140

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Boże Narodzenie 2012
Wincenty Pol: poeta i geograf
Górnice Święto - Barbórka
Z warsztatu wirtuosa: Bronisław Huberman



Styczeń 2013 Nr 141

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Szczęśliwego Nowego Roku!
150 ROCZNICA POWSTAŃ SIŁCZOWEGO
Hipolit Cegielski: filmowy i przemysłowiec
Władysław Bełza: pieśń o polskości



Luty 2013 Nr 142

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Świątówy Dzień KOTA
Mikołaj Kopernik: ten, który wstrzymał słońce
widcy zapomniany: Maria Rodziewiczówna
Dyktando: Teofil Lenartowicz



Marzec 2013 Nr 143

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Wesołego Alleluja!
Wspomnienie o Walerym Przyborskim
Kim byli "Zofierze Wyklęci"?
Isior Newery: doznała niebenałobu zżowienia



Kwiecień 2013 Nr 144

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Święto Matki Ziemi
Być Polakiem: Wojciech Kořantny
Władysław Skoczylas: mianę drzewostu
Międzynarodowy Dzień Ptaków



Maj 2013 Nr 145

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Dzień Matki
"Jakiś szynkarz" - Cyprian Kamil Norwid
Józef Poniatowski: wódz, bohater, legenda
Wrocławska Hala Stulecia



Czerwiec 2013 Nr 146

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Świątówy Dzień Dziecka
Aleksander Fredro: polski Moliere
Kłóć Nam z Zahorane: Stanisław Maruszak
50 lat Festiwalu Piosenki w Opolu



Lipiec 2013 Nr 147

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Orla Perć w Tatrach
Kornel Makuszyński: pisarz, który kochał dzieci
Międzynarodowy Dzień Szachów
Fiat 126p: 40 lat minięło



Sierpień 2013 Nr 148

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Dzień Sprzedawo-Wobes Prob Jądrowych
Generał Haller i Błękitna Armia
Krzysztof Żegocki: pierwszy Karymat i pierwszy polski
Dzień Piwa i Piwowara



Wrzesień 2013 Nr 149

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Jesień w poezji
2,0 lat Komisji Edukacji Narodowej
Kornel Ujejski: pieśń narodowy
Andrzej Frycz Modrzewski: ojciec polskiej demokracji



Listopad 2013 Nr 150

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Memento mori...
Augustyn Kondecki: bohater z Jasnej Gory
Wspomnienie o Elżbiecie Barszczewskiej
Premier Donald Tusk w Cape Town



Grudzień 2013 Nr 151

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

Wesołych Świąt!
Julian Tuwim: biografia niełatwa
Gustaw Morcinek: jestem Szukaniem
Dzień Lotnictwa Cywilnego



Styczeń/Luty 2014 Nr 152

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

DZIEŃ NIEDZWIĘDZIA POLARNEGO
Wincenty Witos: premier wietny siatopom
Marek Hłasko: wschodnioeuropejski James Dean
WALERY DUNINOWSKI: artysta niepełny



Marzec 2014 Nr 153

DOLKROPEK:
Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

MATRONALIA: rzymskie święto kobiet
Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej
Krystyna Kraheńska: Wielka Dama Powstańca Warszawskiego
LOEN SCHILLER: legendarny reżyser sceny polskiej